NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi:
Kwartalnie 4 kor. — 4 Mrk. — 1 Rsb. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8 Mrk. 3 Rsb. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor.—16 Mrk. — 7 Rbs. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA I ADMINISTRACYA. KRAKÓW, ZACISZE 7. Nr. TEL. 479.

Redaktor: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, Warszawa, Aleje Jerozolimskie 78.
Prenumeratę przyjmują Biura UNGRA w Warszawie, Wierzbowa 8 i Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi

Numer pojedynczy kosztuje 32 halerzy — 15 kop.

Rok III. Kraków, 6 października 1906 r. Nr. 41.

Kto mordercą?

(Treść na stronie 3).



Ustąpienie prof. Dybowskiego.

W sędziwym wieku, bo licząc 71 lat życia, ustąpił z początkiem nowego roku szkolnego z zajmowanej od dwudziestu trzech lat katedry zoologii na uniwersytecie lwowskim, prof. dr. Benedykt Dybowski, uczony europejskiej sławy, mąż głębokiej wiedzy, wszechstronnie wykształcony, patryota



Ustąpienie prof. Dybowskiego: Uczony sławy europejskiej, prof. dr. Benedykt Dybowski, po 23 latach opuszczający katedrę zoologii na uniwersytecie lwowskim, dla którego położył ogromne zasługi.

i demokrata szczery, o niezłomnych a czystych zasadach.

Prof. Dybowski urodził się w 1835 r. na Litwie, a ukończywszy gimnazyum w Mińsku Litewskim, studyował na uniwersytecie w Dorpacie medycynę i nauki przyrodnicze, do których szczególnie miał zamiłowanie. Z Dorpatu wyjechał na uniwersytet do Wrocławia a potem do Berlina, gdzie uzyskał stopień doktorski. Powróciwszy następnie na krótki czas do Dorpatu, uzupełniał tam studya, a następnie objął posadę adjunkta przy katedrze zoologii w Szkole Głównej w Warszawie. Tu zaskoczyły go wypadki 1863 r. Patryotyczna dusza dr. Dybowskiego nie pozwoliła mu stać na uboczu; dr. Dybowski stanął jeden z pierwszych między organizatorami powstania. Został jednak aresztowany i w następstwie skazany na Sybir. Umysł młodego uczonego nie ugiął się pod wpływem ciosu. Z zapałem i miłością nauki, choć bolejąc z powodu smutnego obrotu sprawy narodowej, poszedł na wygnanie, w dziewiczą krainę wschodniej Syberyi. Tam oddał się zupełnie badaniom naukowym nad fauną miejscową.

Przez lat 12 przebywał dr. Dybowski wśród lodów syberyjskich, a plony jego ówczesnych studyów i badań, są nad wyraz bogate i doniosłe. W r. 1877 uzyskał pozwolenie powrotu do kraju, przybył więc do Warszawy, wnet jednak, bo już w następnym roku, powrócił dobrowolnie na Kamczatkę, jako lekarz powiatowy i dalej prowadził swe naukowe doświadczenia, wzbogacając naukę niezwykle doniosłemi odkryciami.

Pięć lat trwały studya dr. Dybowskiego na Kamczatce, które imię jego na zawsze wsławiły, a nadto przyniosły mu w uznaniu order św. Stanisława i tytuł radcy stanu. W r. 1883 opuszcza zimną północ, aby objąć katedrę zoologii we Lwowie. Zasługi dr. Dybowskiego na tem nowem stanowisku, są równie poważne. Obejmując tą katedrę, zastał w zbiorach naukowych kilka tysięcy okazów a opuszcza ją, zostawiając ich sto kilkadziesiąt tysięcy, między tymi nieocenione unikaty, oraz z przeszło 1000 tomów złożony księgozbiór, własnem staraniem i własnymi funduszami zdobyte. Cały szereg młodych, a już znanych w literaturze uczonych badaczów, wyprowadził prof. Dybowski, wpajając w nich zamiłowanie prawdy bezwzględnej i nauki. Mimo tych wielkich, niezapomnianych zasług około uniwersytetu i nauki, mimo uzyskania światowej sławy, pozostał dr. Dybowski zawsze skromnym, o siebie i swe sprawy najmniej dbającym.

Niepodobna tu wymieniać zasług tego wielkiego uczonego, niepodobna wyszczególnić nawet części dzieł naukowych, które wydał podczas działalności nauczycielskiej. Zbyt ich wiele. Zaznaczyć tylko należy na zakończenie pobieżnej sylwetki, iż brał czynny i żywy udział w życiu publicznem i publicystycznem, zwalczając przedewszystkiem alkoholizm, którego był zdecydowanym wrogiem. Rozwój „Eleuteryi" — to zasługa w pierwszej linii prof. Dybowskiego, jej pierwszego prezesa.

Z żalem też niekłamanym rozstało się z swym wieloletnim kolegą grono profesorskie, a z ukochanym nauczycielem młodzież akademicka, z wiarą jednak, iż i poza katedrą pracować będzie dr. Dybowski dalej dla polskiej nauki.



Wyścigi balonów: Odjeżdżający z Paryża zwycięzca w wyścigu, porucznik Lahm, na swym balonie „United States".



Fot. dla „Now. Illustrowanych" M. Münz, Lwów.

Młodzież krakowska we Lwowie: Wycieczka studentów szkół średnich krakowskich w gościnie u kolegów lwowskich na placu Maryackim po złożeniu wieńca u stóp kolumny Mickiewicza.

Kto morderca?

(Do illustracyi tytułowej).

Nadzwyczajną sensacyą obudził w tych dniach w Poznańskiem krwawy dramat miłosny, otoczony do tej chwili jeszcze mgłą tajemniczości. Przystojny i zamożny młodzieniec, Ignacy Zakrzewski, syn znanego właściciela dóbr z powiatu Kościańskiego, służąc przez rok jako podoficer w wojsku pruskiem w Poznaniu, nawiązał tam stosunek miłosny z Franciszką Elżbietą Jollat. Sprawę traktował lekko, to też kiedy miał teraz wracać, po odbyciu powinności wojskowej, do domu na wieś, postanowił zerwać krępujące go więzy. Ale kochanka ze względu na dziecko, które było owocem przelotnej miłostki panicza, zażądała stanowczo, by Zakrzewski ją poślubił, miast porzucać shańbioną. Młodzieniec ani słyszeć o tem nie chciał. Musiało przyjść między nimi do scen gwałtownych, dość, że sąsiadów zaintrygował niespodziewanie huk kilku strzałów w mieszkaniu panny Jollat w porze porannej. Wezwano policyi, wyłamano drzwi zamknięte od wewnątrz i w pokoju jej znaleziono leżącego we krwi na podłodze Zakrzewskiego ze słabemi oznakami życia. Obok, nieprzytomna, również ciężko ranna leżała jego kochanka. Na poduszce widniał rewolwer, z którego dano 6 strzałów. Nadto czuć było w pokoju ostry zapach jakiegoś płynu w stojącej nieopodal buteleczce. Zakrzewski umarł rychło w lazarecie, rany zaś panny Jollat nie grożą jej śmiercią. Nie ma jeszcze pewności, kto kogo zabił, ale poszlaki zdają się wskazywać na to, iż kochanka zastrzeliła sama ojca swego dziecka, poczem targnęła się na własne życie.

Młodzież krakowska we Lwowie.

Odwzajemniając się młodzieży szkolnej lwowskiej, która w czerwcu b. r. przybyła z wycieczką do Krakowa, wybrała się w ubiegłym tygodniu drużyna krakowskich uczniów szkół średnich do Lwowa. Przybyli studenci krakowscy w liczbie przeszło 150, pod przewodnictwem czterech profesorów, w czwartek rannym pociągiem i z dworca, powitani owacyjnie przez zgromadzoną tam tłumnie młodzież szkolną lwowską, pomaszerowali z orkiestrą gimnazyum św. Anny na czele, do miasta.

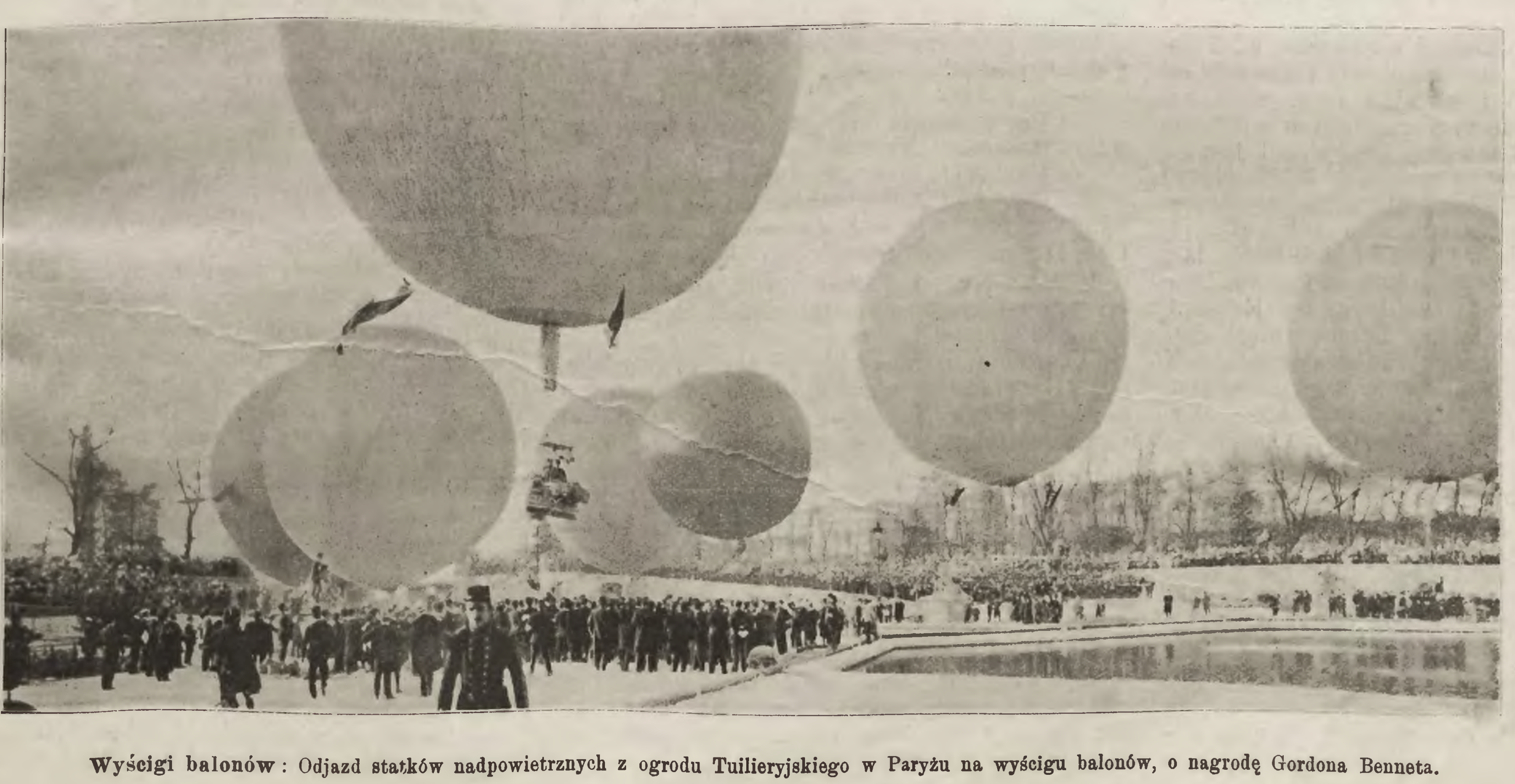
Pierwsze chwile pobytu we Lwowie wywołały wśród gości dość przykre rozczarowanie. Oto komitet lwowski, który miał się zająć pomieszczeniem Krakowiaków we Lwowie, z powodu wyjazdu przewodniczącego dyrektora Lityńskiego, nie przygotował kwater i wogóle nie zorganizował przyjęcia. Na prośbę jednak lwowskiej młodzieży, prezydent miasta p. Michalski oraz Rada szkolna okręgowa, udzieliła dwu sal gimnastycznych szkolnych na noclegi, dostarczono potrzebnej pościeli, grono studentów zaś i akademików zajęło się ugoszczeniem miłych gości i oprowadzaniem ich po Lwowie. Serdeczną, szczerą gościnnością starali się Lwowianie zatrzeć pierwsze niemiłe wrażenie i udało im się to w zupełności a czas pobytu zeszedł też Krakowiakom we Lwowie bardzo miło. Dyrektorowie lwowskich gimnazyów zwolnili na czas pobytu gości krakowskich we Lwowie po kilku uczniów i młodszych profesorów, aby towarzyszyli im w zwiedzaniu Lwowa. Dziękując za tę uczynność, młodzież krakowska urządziła tym dyrektorom serdeczną owacyę, obchodząc w sobotę przedpołudniem kolejno gimnazya i defilując uroczyście przed gronami nauczycielskiemi tych zakładów. Najokazalej wypadła ta owacya w V. gimnazyum, gdzie defilada odbyła się na podwórzu gimnazyum w czasie przerwy, wśród owacyjnych okrzyków kolegów lwowskich.

* *

Rycina nasza przedstawia właśnie scenę na podwórzu V. gimnazyum.



Młodzież krakowska we Lwowie: Wycieczka studentów szkół średnich krakowskich w gościnie u kolegów lwowskich: defilada w dziedzińcu gimnazyum Bernardyńskiego. Fot. dla „Now. Illustrowanych" M. Münz, Lwów.



Wyścigi balonów: Odjazd statków nadpowietrznych z ogrodu Tuileryjskiego w Paryżu na wyścigu balonów, o nagrodę Gordona Benneta.

CONAN DOYLE.

PÓŹNA ZEMSTA

z angielskiego przełożył W. L.

ZE WSPOMNIEŃ WATSONA

4 Ciąg dalszy.

— A cóż mnie on może obchodzić? Mieliśmy dosyć do roboty. Znalazł z pewnością drogę do domu, możesz pan być zupełnie spokojny o to.

— A jak był ubrany?

— Miał szary surdut na sobie.

— Czy miał w ręku biczysko?

— Biczysko? Uchowaj Boże!

— Musiał je zatem gdzieś po drodze zostawić — mówił Holmes do siebie — czy nie przejeżdżała bezpośrednio potem jakaś dorożka?

— Nie!

Mój towarzysz schylił się po swój kapelusz.

— Oto złotówka dla pana, panie Rance — powiedział — innym razem miej pan jednak głowę na karku! Obawiam się, że przez całe życie nie doprowadzisz do niczego, choć noc ostatnia mogła ci była wyrobić godność sierżanta. Zamiast tego, wypuściłeś z rąk mordercę, który mógł wyjaśnić tę tajemniczą sprawę. Lecz pocóż sprzeczać się dłużej? Sprawa tak się ma, jak powiadam — bądź pan tego pewny! Pójdź Watsonie! Ruszamy dalej!

Policyant patrzał z niedowierzaniem, lecz poznać było można, że winę swoją uznawał.

Pozostawiliśmy go w niezmiernem zakłopotaniu.

— Bałwan! — zawołał Holmess rozgniewany — szczęście uśmiecha się do niego najniespodziewaniej, a ten idyota odwraca się od niego.

— Czy pan jednak pewny swego? — zapytałem. — Opis pijaczyny zgadza się wprawdzie dokładnie z poprzedniem przedstawieniem pańskiem mordercy, wmięszanego w tę całą sprawę, ale cóż mogło ciągnąć go z powrotem do opustoszałego domu? Nie wygląda on na mordercę!

— Pierścień, przyjacielu, pierścień chciał sobie odnaleźć. Jeśli nie będzie innego sposobu na złapanie mordercy, użyjemy pierścienia jako przynęty. Powiadam ci doktorze, idzie mi w sieć ta rybka, mam ją już na pewne. A panu mam wszystko do zawdzięczenia, bo gdyby nie przekonywujące słowa pańskie, nie byłbym skorzystał z nowej niecodziennej może sposobności, by uzupełnić moje studya kryminalne. Lecz teraz na koncert! Neruda wspaniała kobieta a śpiewa cudnie! Jak to zaczyna się ten utwór Szopena, w którym ją słyszałem? Tra-la-lira-lira!

Oparł się o poduszki, nucąc jak słowik, podczas gdy ja zastanawiałem się nad wielostronnością tego człowieka, przeznaczonego z natury na detektywa, który jednak prowadził badania z zamiłowaniem artysty.

ROZDZIAŁ V.

Wizyta.

Wrażenia poranne były za silne na moje słabe zdrowie. Czułem się ogromnie osłabiony i skoro tylko Holmess poszedł na koncert, położyłem się na sofie, aby pokrzepić się troszkę parogodzinną drzemką.

O wypoczynku i marzyć nie mogłem, gdyż błędne, fantastyczne obrazy zapełniały i dręczyły mą głowę. Skoro tylko zamknąłem oczy, widziałem przed sobą zniszczone rysy zmarłego o wyglądzie pawiana. Widok był tak odpychający, że ledwo nie czułem się zobowiązanym mordercy, który zgładził tego wstrętnego człowieka. Nie spotkałem jeszcze w życiu nikogo, na którego obliczu rywalizowałyby do tego stopnia nienawiść i złośliwość, lecz musiałem przyznać równocześnie, że sprawiedliwości zadość należy uczynić. Choćby ten Enoch J. Drebber był niewiem jakim, nie usprawiedliwiało to w zupełności jeszcze mordu w obliczu prawa. Im głębiej zastanawiałem się nad orzeczeniem Holmesa, że Drebbera otruto, tem dziwniejszą stawała się ta zagadka dla mnie. Holmes wpadł pewnie na tę myśl, gdy klęcząc, obwąchiwał wargi trupa. Nic innego nie można było przypuszczać, znaku uduszenia nie było, nie można też było odkryć żadnej rany? A jednak skąd się wzięła krew na podłodze? Walki zdaje się nie było, gdyż nie znaleźli żadnej broni, którą mógłby Drebber zranić przeciwnika. Holmes, mem zdaniem, utworzył sobie najdokładniejszy przebieg tej całej sprawy, znać to było po jego spokojnem, pewnem postępowaniu, nie przeczuwałem jednak nawet, w jaki sposób wyjaśniał sobie trwałą rzeczywistość, dla mnie wysoce niezrozumiałą.

Późno już było, gdy powrócił do domu; niepodobna, aby był tylko na koncercie. Kolacya stała przygotowana na stole, zajął też zaraz miejsce.

— Co za wybredne, rozkoszne użycie — zawołał po chwili — niema nic nad śpiew i muzykę! Jakiż czar wywiera to wszystko na człowieku! Lecz cóż się to z panem dzieje Watsonie? Ogromnieś zmizerowany! Czy ta historya z Brikston Street wyprowadziła cię do tego stopnia z równowagi?

— Rzeczywiście! Sam nie przypuszczałem nawet! Od czasu moich wrażeń w Afganistanie, gdzie widziałem, jak moich kolegów darto na sztuki, jestem po raz pierwszy silniej zdenerwowany.

— Zajścia podobnego rodzaju pobudzają fantazyę i przejmują następnie łatwo zrozumiałym dreszczem — odparł mi Holmess — w wieczornych wydaniach dzienników czytałem dokładne sprawozdanie o tej historyi tragicznej, cieszę się jednak nie wymownie, że nie wspominają słowem o pierścieniu.

— Dlaczego?

— Dzisiaj wieczorem dałem ogłoszenie do dziennika. Proszę bądź pan łaskaw przeczytać!

Podał mi gazetę, w której pod rubryką: Znaleziono“ wyczytałem co następuje:

„Zwykły złoty pierścień znaleziono dzisiaj wczas rano przy Brikston-Street, między gospodą pod „Białym Jeleniem“ a parkiem Holland. Zgłoszenia przyjmuje Dr. Watson, Bakerstreet 221 b. między godziną 8 a 9 wieczorem“.

— Pan wybaczy, że użyłem pańskiego nazwiska, lecz gdybym był moje własne wymienił, nie byłbym zabezpieczony przed wmieszaniem się do tego paru ograniczonych bałwanów.

— Co będzie jednak, gdy zgłosi się właściciel zgubionego pierścienia. Cóż ja mu powiem?

— Pomyślałem i o tem — odezwał się Holmess, wręczając mi pierścień — zupełnie jak znaleziony w opustoszałym domu, zrobi tę samą przysługę!

— Kto się zgłosi na to ogłoszenie?

— Naturalnie morderca w szarym surducie, nasz dobry znajomy o czerwonej cerze i ordynarnem obuwiu Może też przysłać którego z wspólników.

— Czy nie zwietrzy niebezpieczeństwa?

— Uchowaj Boże! A nawet gdyby, to zdaniem mojem odważy się na największe niebezpieczeństwo, byle tylko odebrać ślubną obrączkę. Przypuszczam, że zgubił ją, pochyliwszy się nad zwłokami Drebbera, nie spostrzegł tego aż dopiero na polu i spieszył zaraz z powrotem. Ponieważ jednak zrobił głupstwo, że zostawił światło w pokoju, znalazł niebawem policyę na miejscu. By podejrzenia nie wzbudzić, wpadł na pomysł znakomity, udawać pijanego. „Wstaw się pan tylko w jego położenie! Teraz rozważa to wszystko i nie chce przypuszczać, żeby pierścień zgubił dopiero na ulicy. Cóż naturalniejszego jak to, że rozglądnie się w wieczornych wydaniach dzienników za utraconą obrączką czyta nasze ogłoszenie i jest znowu szczęśliwy. Czemuż miałby się obawiać, że wpadnie w pułapkę? Nie sądzi ani na chwilę, że ściągnie podejrzenie na siebie, jeśli przyjdzie po swoją własność. Może być tutaj przed godziną jeszcze!

— A potem?

— Potem pozwól mnie pan działać samemu, to już moja sprawa! Ma pan broń jaką?

— Mam jakiś stary rewolwer i parę nabojów.

— Oczyść go pan starannie i naładuj na wszelki wypadek! Będziemy mieli do czynienia z człowiekiem zrozpaczonym. Spodziewam się wreszcie, że dałbym mu rady, w każdym razie jednak lepiej być przygotowanym na ostateczność! Strzeżonego Pan Bóg strzeże!

Udałem się do mego pokoju, spełniając polecenie wytrawnego przyjaciela. Skoro zjawiłem się za chwilę z rewolwerem w ręku, Holmess siedział z przymrużonemi oczyma na krześle i grał po swojemu na skrzypcach.

— Sieć zaczyna się zwężać! — odparł Holmess — właśnie dostaję telegram z Ameryki. Zdanie moje o tej sprawie najzupełniej słuszne!

— Co pan myśli właściwie o tem? — Spytałem gorliwie.

Zdawał się mego pytania nie słyszeć.

— Muszę mym skrzypcom kupić nowe struny — mruczał do siebie — skoro ten człowiek się zjawi — odezwał się znowu — mów pan z nim jak zwykle, nie patrz pan także badawczo na niego, by nie zaczął czegoś podejrzywać.

Ósma minęła — powiedziałem, patrząc na zegarek.

— Za parę minut z pewnością nadejdzie. — Otwórz pan trochę drzwi i włóż pan klucz ostrożnie. Dziękuję! teraz może już nadejść. Zdaje się, już nadchodzi!

Na korytarzu pociągnął ktoś silnie za dzwonek. Sherlock Holmess wstał bez hałasu i przysunął się nieco ze stołkiem bliżej drzwi. Słyszeliśmy, jak służąca szła przez przedpokój i otworzyła drzwi.

— Czy tu mieszka Dr. Watson? — usłyszeliśmy głos silny i ostry; potem zamknięto drzwi i ktoś szedł szybko po schodach. Towarzysz mój przysłuchiwał się ze zdziwieniem powolnym, cichym krokom zbliżającej się osoby.

Ktoś lekko zapukał.

— Proszę! — zawołałem.

— Drzwi rozwarły się zwolna; zamiast człowieka olbrzyma, którego spodziewaliśmy się, spostrzegłem przed sobą zgrzybiałą, kulawą staruszkę, która oślepiona blaskiem naszej lampy, patrzała na nas błędnemi oczyma.

Podczas gdy stara stała jak niema przed nami, drżącymi palcami szukając czegoś trwożliwie po swoich kieszeniach, przybrało oblicze mego przyjaciela tak bezgranicznie smutny wyraz, że z trudem opamiętałem się ledwie. Wyjęła wreszcie gazetę, wskazując na nasze ogłoszenie.

— W tym celu przychodzę, łaskawi panowie — odezwała się wreszcie, kłaniając się nisko — złoty pierścień ślubny to własność mojej córki Sally; dopiero jest dziewięć miesięcy zamężna, a skoro mąż jej do domu powróci — jest on prowiantownikiem na jednym z okrętów — a pierścienia nie znajdzie, to będzie dopiero awantura. On zawsze szorstki, cóż dopiero gdy się upije. Bo było to tak: Wczoraj wieczorem powracała z cyrku.....

— Czy to ten pierścień — spytałem.

— Chwała Bogu! — zawołała stara — jakżeż się moja Sally ucieszy, tak! ten sam!

Chwyciłem za pióro.

— Gdzie pani mieszka?

— Houndsditsch, Dunkanstreet 13 E! to bardzo daleko!

— Jeśli się powraca z Houndsditsch, nie idzie się ulicą Brikston — wmieszał się najniespodziewaniej Holmess do naszej rozmowy.

Stara poczwara spojrzała na niego przenikającym wzrokiem.

— Pan pytał przecież o mój adres. Sally znów mieszka w Peckhan, Mayfield-Plac Nr. 3.

— Nazwisko pani?

— Sawyer, ona zaś nazywa się Dennis, gdyż wyszła za Toma Dennisa. Dzielny, pracow ty chłopak, jak długo jest na morzu; żaden prowiantownik nie znaczy tyle u tych panów z towarzystwa okrętowego. Ale jak tylko dostanie się na ląd, za wiele obchodzą go dziewczęta i wódka.

— Oto jest pierścień — przerwałem jej na znak Sherlocka Holmessa — bez kwestyi jest to własność córki pani, cieszę się też niewątpliwie, że dostał się napowrót we właściwe ręce.

Z całym stekiem najrozmaitszych słów podziękowania schowała stara pierścień do swojej kieszeni i kulejąc zwróciła się ku drzwiom. Zaledwie wyszła, znikł Sherlock w swoim pokoju, aby wyjść za parę sekund kompletnie ubrany.

— Pójdę za nią — odparł, żegnając się ze mną — to jest wspólniczka mordercy, musi mnie zatem naprowadzić na ślad jego. Proszę! pozostań pan w domu aż do mego powrotu!

Gdy Holmmes schodził po schodach, zamknęły się drzwi od bramy za starą. Z okna widziałem wyraźnie, jak oddalała się krokiem wolnym, opieszale, podczas gdy mój przyjaciel skradał się za nią po drugiej stronie ulicy.

— Albo cała jego teorya fałszywa, albo uda mu się dziś jeszcze rozwiązać zagadkę!

Nie potrzebował mnie prosić, abym pozostał do jego powrotu, gdyż o spoczynku i myśleć nie mogłem, zaciekawiony do najwyższego, co się też stanie z Holmessem. Była prawie 9 godzina, gdy wyszedł za starą. Nałożyłem sobie fajkę i wziąłem się do czytania jakiegoś francuskiego romansu. Biła 10, słyszałem jak nasza służąca szła spać, po 11 słyszałem znów kroki naszej gospodni, do piero po północy zaskrzypiał klucz w drzwiach od bramy.

Po minie Sherlocka poznałem zaraz, że nie miał szczęścia. Zgryzota i zadowolenie walczyły o lepsze na jego twarzy, aż wreszcie wesołość pozyskała przewagę i Holmess buchnął homerycznym śmiechem.

— Za nic w świecie nie chciałbym, aby tajni detektywi posłyszeli cośkolwiek o moich dzisiej-

szych przygodach — zawołał, padając ze zmęczenia na krzesło.

— Tyle razy drwiłem z nich sobie, że zapragnęliby tym razem zadrwić sobie znów ze mnie do syta. Ponieważ wiem jednak, że ich wszystkich ubiegnę, śmieję się teraz do rozpuku.

— Cóż się stało takiego? — zapytałem.

— Opowiem panu dokładnie całą historyę, choć mało przynosi mi zaszczytu: Ta stara uszła zaledwie mały kawałek, gdy nagle zaczęła kuleć ogromnie i według wszelkiego prawdopodobieństwa nie była bez winy. Stanęła i skinęła na przejeżdżającą dorożkę. Chcąc posłyszeć adres, podsunąłem się bliżej, lecz tego zabiegu mogłem sobie oszczędzić. „Houndsditch Dunkanstreet Nr. 13“, zawołała poczwara, aż o mile ją było słychać. Poskoczyłem i uczepiłem się dorożki — to sztuka, którą znać musi każdy detektyw dokładnie. Dorożka gnała z jednakową szybkością. Miała właśnie stanąć u celu, gdy zeskoczyłem i wlokłem się zwolna po drugiej stronie ulicy. Kuczer zeskoczył z kozła, otworzył drzwiczki i czekał. Lecz nikt nie wyszedł. Przystąpiłem bliżej i widziałem, jak ze strasznem przekleństem zatrzasnął dorożkę i grożąc przeklętej czarownicy, odjechał w dzikiem tempie. Stara znikła bez śladu i wie pan co, boję się, czy woźnica nie będzie musiał zbyt długo na zapłatę poczekać. Dom pod Nr. 13 należy, jak się dowiedziałem, do bardzo zacnego człowieka, tapicera Keswiga, pani Sawyer lub Dennis nikt nie zna.

— Przecież pan nie przypuszcza, aby stara, kulawa kobieta mogła wyskoczyć z dorożki podczas tej jazdy szalonej i żeby tego nie spostrzegł woźnica.

— Do dyabła ze starą wiedźmą — zawołał Holmes — ze mnie stara baba, że pozwoliłem wywieść się w pole. Musiał to być młody i sprytny przytem mężczyzna, skończony artysta, panie Watson! Przebrał się tylko wspaniale! Bez wątpienia spostrzegł mnie i użył tej sztuczki, aby mi uciec. Nowy dowód, że morderca nie jest bez pomocy, jak myślałem początkowo, ale, że ma wielu przyjaciół, którzy w potrzebie narażą się dla niego. Lecz czas już spać — pan, panie Watsonie — zmęczony jesteś ogromnie.

W rzeczy samej czułem się strasznie wyczerpany, poszedłem też zaraz za jego radą. Holmess pozostał jeszcze i długo w noc słyszałem smętne tony jego skrzypiec; wiedziałem, że zastanawia się nad problemem, którego rozwiązanie obrał sobie za punkt honoru.

ROZDZIAŁ VI.

Tobiasz Gregson dokonywa wielkich czynów.

Dnia następnego były wszystkie dzienniki przepełnione tajemnicą z Brikston Street; wiele dzienników nie omieszkało poprzedzić właściwego sprawozdania z przebiegu całej akcyi łokciowymi artykułami wstępnymi. Podawały wiele rzeczy ciekawych, dla mnie nowych zupełnie, mam też cały szereg wycinków i sprawozdań. Najciekawsze przytoczę:

Jeden z najpoważniejszych dzienników „Daily Telegraph“ był zdania, że kronika zbrodniarzy niewiele stosunkowo faktów ma do zanotowania, którym towarzyszyły tak dziwne okoliczności. Niemieckie imię ofiary, brak wszelkiej pobudki do zbrodni, straszne słowo, krwią napisane na ścianie, pozwalały wnioskować na pewne, że tajemiczego czynu dopuściła się któraś z partyi rewolucyjnych. Socyaliści mają — zdaniem szanownego dziennika — bardzo rozgałęzione stosunki w Ameryce, prawdopodobnie też przekroczył Drebber ich prawo, skoro skazali go na śmierć. Artykuł kończył się ostrzeżeniem dla rządu, by na cudzoziemców baczniejszą zwrócił uwagę.

„Standard“ ubolewał znowu, że podobne okrucieństwa są owocem wolnomyślnego rządu, który osidla masy i podkopuje wszelką powagę. Zmarły — czytalem dalej w „Standard“ — zatrzymał się po powrocie z Ameryki czas dłuższy w Londynie, zajmując mieszkanie w prywatnej pensyi pani Charpentier Tarquay Terrace Cambervell. Podróżował w towarzystwie swego sekretarza Józefa Stangersona. Ostatniego wtorku 4 miesiąca pożegnali obydwaj panią Charpentier i pojechali na dworzec Eustoński, z niezmiennym zamiarem dostania się do Liverpoolu pospiesznym statkiem. Widziano ich także w poczekalni na dworcu. Odtąd nie otrzymano o nich żadnych wiadomości, aż do chwili, w której znaleziono zwłoki Drebbera w opustoszałym domu przy Brikston-Street parę mil od rzeczonego dworca. Jak się tam dostał, i w jaki sposób zginął tak marnie, niewiadomo dotąd. Niewiadomo również, co się dzieje ze Stangersonem. Cieszy nas to niewymownie, że sprawę tę oddano w ręce znanych detektywów Lestrada i Gregsona, gdyż pewni jesteśmy, że niezmordowanym usiłowaniom tych panów uda się wkrótce wyjaśnić tę tajemniczą sprawę.

„Daily News“ zapewniał, że fakt ten jest polityczną zbrodnią. Przekonają się o tem wszyscy, skoro wykryją miejsce pobytu jego sekretarza Stangersona, który zapewne poda wiele ciekawych szczegółów z życia zmarłego Drebbera. Dzięki niebywałej bystrości i dzielności tajnych komisarzy Gregsona i Lestrada dowiedziano się o ostatniem mieszkaniu śp. Drebbera; fakt ten niezmiernej donioślości pozwala się spodziewać, że sprawa, tajemnicza i niejasna dotąd, na nowe wstąpi tory.



Oto jest pierścień — przerwałem jej na znak Sherloka Holmessa....

Te i tym podobne artykuły, które Holmes czytał przy śniadaniu, rozweseliły go widocznie.

— Czy nie mówiłem wtedy, że cobądź się stanie, skorzystają z tego tylko Gregson i Lestrade.

— Zależnie od wyniku — zauważyłem.

— Broń Boże! Wynik to rzecz obojętna! Jeśli złapią mordercę, stanie się to tylko dzięki ich usiłowaniom, nie uda im się go wykryć, to będzie to mimo ich usiłowań największych. Uznania nigdy im nie braknie, czy zrobią coś w tej sprawie, to obojętne.

— Cóż się znów dzieje? Co to za hałas? Czy pan słyszy, panie Sherlock — zapytałem, usłyszawszy na korytarzu i na schodach tupanie wielu nóg ludzkich, któremu towarzyszył karcący głos mej gospodyni.

— To załoga małych detektywów z Baker-Street — odparł mój towarzysz z uśmiechem i zanim zdołałem odpowiedzieć, ujrzałem przed sobą może pół tuzina brudnych obszarpanych chłopaków, jakich spotkać łatwo na ulicach Londynu.

— Baczność! — zawołał Holmess tonem dowódcy, a sześciu smarkaczy stanęło rzędem jak wyćwiczone wojsko. — Na przyszłość przyszlecie Wigginsa z raportem, wy zaczekacie na dole. — Znalazłeś ją Wigginsie!

— Nie! — odparł najstarszy z gromady — nie mogliśmy jej znaleźć.

— Pomyślałem to sobie zaraz! Szukać dalej aż do skutku; oto wasze pieniądze!

Dał każdemu chłopcu po szylingu.

— A teraz precz mi z oczu, na przyszły raz nie przychodzić z próżnemi rękami.

Na jego skinienie obrócili się na piętach i potoczyli się na dół po schodach. Niebawem słyszałem ich krzyki i wrzaski na ulicy.

— Jeden taki mały oberwaniec więcej mi wiadomości przyniesie, niż dziesięciu detektywów. Ludzie w tej chwili zamykają gadatliwe usta, skoro tylko ujrzą w oddaleniu urzędnika. Taki malec wkręci się jednak wszędzie i wszystko posłyszy. Śliski on jak węgorz, a chytry jak lis, brakuje im tylko karności.

— Czy to ma jaki związek z wypadkiem przy Brikston-Street?

— Tak! Chodzi o jeden punkt co do którego muszę być pewny. Oni się zwiną z tem szybko — chodzi tylko o czas. Ale! ale! wnet będą nowości, bo oto steruje ku nam Gregson całą siłą pary.

Rozpromieniony z radości, za parę sekund zjawi się tutaj!

Ktoś silnie za dzwonek pociągnął i wkrótce potem spinał się szybko po schodach, skacząc po parę naraz. Za chwilę stanął przed nami Gregson, wpadłszy jak bomba do naszego pokoju.

— Gratulujcie mi panowie—zawołał, ściskając rękę Holmessa niezwykle serdecznie — udało mi się wykryć mordercę — wszystko jasne jak słońce.

Ponury cień przemknął po obliczu mego przyjaciela.

— Czy sądzi pan, że pan znalazł z pewnością drogę wyjścia z tej sprawy?

— Wpadłem na trop zbrodniarza! Mam go już w więzieniu!

— Któż jest mordercą?

Gregson spojrzał dumnie po pokoju.

— Artur Charpentier, podoficer przy królewskiej marynarce — wykrzyknął jednym tchem, zacierając z zadowoleniem tłuste swe ręce.

Sherlock Holmess odetchnął z widoczną ulgą.

— Proszę pana usiąść na chwilę — oto cygaro. Jesteśmy ogromnie ciekawi, jak się pan zabrał właściwie do rzeczy. Może szklaneczkę grogu?

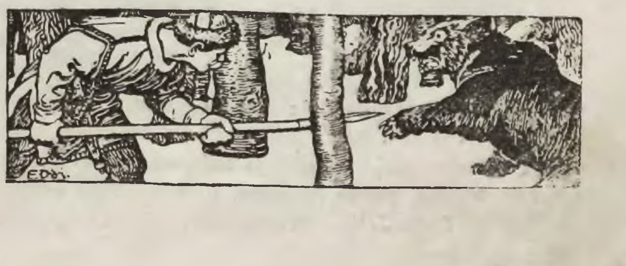
— Niemam nic przeciwko temu — odparł detektyw — kto tyle trudów przebył, co ja w ostatnich dniach, może sobie pozwolić na małe pokrzepienie swych sił osłabłych. Pracowałem wiele głową, a to męczy niezmiernie — pan to rozumiesz, panie Holmess, bo i pan przecież pracuje umysłowo.

Gregson rozsiadł się wygodnie w fotelu i zapalił z przyjemnością cygaro. Nagle uderzył się ręką po kolanie i buchnął serdecznym śmiechem.

— Ależ to niezwykle komiczne, że Lestrade, który się wielkiem uznaniem cieszy, znajduje się na najfałszywszej drodze pod słońcem. Podejrzywa on coś sekretarza Stangersona, który w tej całej aferze niewinny jak nowonarodzone dziecię. Z pewnością kazał go już przyskrzynić. — I znowu zatrząsł się od śmiechu.

— W jaki sposób znalazł pan jednak prawdziwy ślad zbrodniarza?

(Ciąg dalszy nastąpi).



Przeciw zakusom niemieckim.

Wiadomo, że z pośród powiatów zachodniej Galicyi, najbardziej narażonym na zakusy niemczyzny, jest powiat bialski. Szerzenie oświaty i uświadomienia narodowego między ludem, staje się tu kwestyą najbardziej piekącą. Stąd też takie fakty pocieszające, jak otwarcie nowej czytelni Tow. Szkoły Ludowej w Brzeszczach, trzeba tam witać z tem większą radością.



Przeciw zakusom niemieckim: Założenie czytelni T. S. L. w Brzeszczach: Komitet zabaw, z których dochód utworzył fundusz zakładowy Czytelni: 1. dyrektor kopalni inż. Fr. Drobniak, prezes; 2. ks. proboszcz J. Migdałek; 3. słuchacz praw, Al. Senkowski, inicyator i kasyer komitetu. Fot. amator F. Sękowski.

Wieś Brzeszcze nabrała dopiero od pewnego czasu większego znaczenia, a mianowicie odkąd tam powstała nowa kopalnia węgla kamiennego. Ludność miejscowa powiększyła się znacznie przez napływ górników — i potrzeba założenia Czytelni dała się uczuć żywiej. Myśl tę rzucił tam naprzód p. Alojzy Senkowski, słuchacz praw, podczas niedawno co ubiegłych wakacyj, a młodzież gimnazyalna, przebywająca wolne chwile pod rodzinną strzechą, podjęła myśl tę skwapliwie i tak żywo zabrała się do dzieła, że w niedługim czasie zorganizowała liczny komitet, złożony z miejscowych gospodarzy i górników. Staraniem tego komitetu — w którego skład weszła też wspomniana młodzież, wraz z inicyatorem — doszły do skutku dwie zabawy ludowe w pobliskim lasku „na Górkach“: dn. 20 lipca b. r. oraz 15 sierpnia, które przyniosły wcale pokaźną, a jak na wiejskie stosunki, niebywałą sumkę — w łącznej kwocie 1056 kor. na dochód przyszłej czytelni T. S. L. W urozmaiconym programie tych zabaw, znalazły się między innemi produkcye chóru męskiego, złożonego z miejscowej młodzieży, górników i gospodarzy, który odśpiewał „wieniec pieśni narodowych“, pod batutą p. F. Kołodziejczyka.

Za fundusze, uzyskane z powyższych zabaw, zakupiono książki, wyznaczono lokal na czytelnię, obecnie zaś — po rozwiązaniu się dotychczasowego komitetu zabawowego, członkowie założyciele przystępują do wyboru zarządu Koła T. S. L. Szczęść Boże temu dziełu na kresach!

Obok załączone fotografie przedstawiają: członków czynnego komitetu zabawowego z prezesem na czele i chóru męskiego, wraz ze swoim dyrygentem.

Swięto wiedzy polskiej.

Nauka polska święciła w ubiegłym tygodniu uroczyste święto. Oto w prastarych murach Jagiellońskiej Almae Matris odbywał się przez cztery dni zjazd prawników i ekonomistów polskich, zjazd, który w historyi pracy nad prawem polskiem zapisze się, dzięki doniosłości podniesionych na nim kwestyj, chlubnie i trwale.

Zjazdy prawników i ekonomistów polskich mają już swoje tradycye. Odbyty w ubiegłym tygodniu zjazd w Krakowie jest czwartym z rzędu; ostatni odbył się przed trzynastu laty w Poznaniu.

Dla nas, Polaków, zjazdy prawników i ekonomistów mają donioślejsze znaczenie społeczne i narodowe, niż dla społeczeństw. żyjących w szczęśliwszych od nas warunkach. Zjazdy te, to nie tylko przejawy myśli, przejawy pracy polskiej, to są zjazdy nasze narodowe, zjazdy ściśle polskie; one są najdzielniejszym środkiem do zwalczania uje-



Fot. dla „Now. Illustr.“ aparatem redakcyjnym W. Lis w Krakowie.

Święto wiedzy polskiej: *Zjazd ekonomistów i prawników polskich w Krakowie:* Grupa najwybitniejszych uczestników zjazdu, wraz z prezydyum na dziedzińcu Biblioteki Jagiellońskiej: 1. Prezes Wydziału kraj., radca dworu dr. Pilat, przewodniczący zjazdu; 2. ekscellencya dr. Witołd Hausner, przewodniczący sekcyi prawniczej; 3. radca dworu Ochenkowski, przew. sekcyi ekonomicznej; 4. mecenas Suligowski z Warszawy, zastępca przewodniczącego sekcyi prawniczej; 5. mecenas Kirszrot z Warszawy, zastępca przewodniczącego zjazdu; 6. prof. dr Ksawery Fierich, prezes komitetu, urządzającego zjazd; 7. radca Tow. kredytowego ziemskiego z Warszawy, Dzierzbicki; 8. poseł dr. Witołd Skarżyński, wiceprezes sekcyi ekonomicznej 9. prof. dr. Juliusz Makarewicz, sekretarz generalny zjazdu; 10. radca sądu wyższego Szybalski, wiceprezes komitetu, urządzającego zjazd; 11. mecenas Zborowski z Berlina, wiceprezes sekcyi prawniczej.

mnego wpływu partykularyzmu. Zjazdy te, choć fachowe, są nietylko manifestem nauki polskiej, objawem naszej kulturalnej siły, lecz są i to przedewszystkiem manifestem naszego, w całej pełni się rozwijającego życia narodowego. Dają one sposobność nie tylko do badania aktualnych kwestyj prawniczych i kwestyi z dziedziny gospodarstwa społecznego, nie tylko możność wymiany myśli przez teoretyków i praktyków przy omawianiu problematów naukowych, ale powinny być dla nas przedewszystkiem środkami samopomocy w doniosłych kwestyach społecznych. Na takich zjazdach rośnie poczucie wspólności rodaków ze wszystkich ziem polskich i uświadamia się silniej, dlatego, że do tych wszystkich węzłów historyi, języka, uczucia, które tworzą naród, przybywa świadomość wspólności interesów realnych i problemów, decydujących o naszem społecznem życiu. I jeszcze jedno. W społeczeństwie, targanem tylu sprzecznymi prądami, nurtowanem przez wpływy obce, spokojna, poważna praca jest środkiem odradzającym i krzepiącym. Taki zjazd, poświęcony naukowemu oświetleniu doniosłych spraw, wnosi w życie publiczne pierwiastki krytyki, opartej na faktach i nauce, daje przykład, w jaki sposób należy traktować kwestye społeczne, tak często zaciemniane u nas tendencyjnością, stanowiskiem politycznem, bezkrytycznem hasłem czy frazesem.

Czwarty zjazd rozpoczął się w ubiegły poniedziałek mszą świętą w kościele akademickim św. Anny. Nabożeństwo odprawił ks. biskup Anatol Nowak, a w świątyni zgromadzili się bardzo licznie uczestnicy zjazdu. O godz. 10 w auli Uniwersytetu Jagiellońskiego odbyło się pierwsze pełne zebranie. Aula wypełniła się przybyłymi z ziem polskich, z kraju i z Krakowa pracownikami w dziedzinie prawa i ekonomii. Uczestników było przeszło 300, i to ze wszystkich ziem polskich. Zebranie zagaił prezes komitetu urządzającego zjazd, prof. dr Ksawery Fierich, dłuższem przemówieniem, poczem imieniem Uniwersytetu powitał zgromadzonych rektor Kazimierz Morawski, dalej Eksc. prezydent sądu wyższego Witold Hausner, imieniem miasta prezydent dr Leo, a imieniem krakowskiej Izby adwokackiej prezes Izby dr Michał Koy. Przystąpiono do wyboru prezydyum. Prezesami honorowymi obrano Eksc. Leona Bilińskiego, Eks. Juliana Dunajewskiego z Galicyi, Ludwika Górskiego i prof. Władysława Holewińskiego z Warszawy, a ks. Piotra Wawrzyniaka z Poznańskiego.

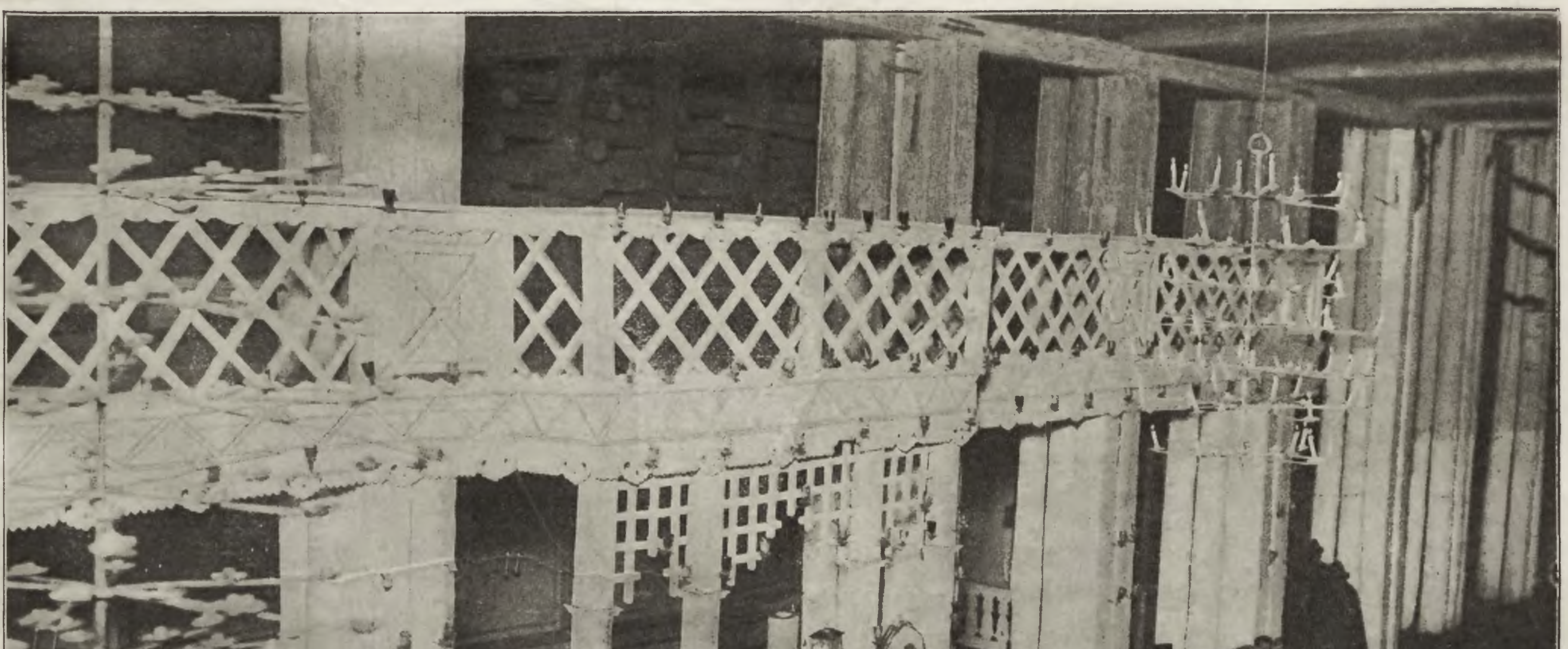


Fot. amat. F. Sękowski.

Przeciw zakusom niemieckim: Założenie czytelni T. S. L. w Brzeszczach: chór z dyrygentem Kołodziejskim na czele.

Prezesami rzeczywistymi wybrano prezesa Wydziału kraj. dra Pilata, mecenasa Adama Wolińskiego z Poznania i mecenasa Jakóba Kirszrota z Warszawy. W końcu Eksc. Biliński wygłosił znakomicie opracowany wykład „O wypłatach międzynarodowych“. — Reszta dni poświęcona była pracom i obradom sekcyj.

Obok wielu ważnych fachowych kwestyj z dziedziny prawa i nauk administracyjnych obrady zjazdu toczyły się głównie nad dwoma pierwszorzędnemi dla całego narodu problematami, t. j. ruchem emigracyjnym i parcelacyą ziemi polskiej Obie te kwestye wysunęły się na czoło naszych społecznych zagadnień, im też poświęcono główną



Fot. aparatem redakcyjnym „Now. Ill.“ przy sztucznem oświetleniu W. Lis z Krakowa.

Święto wiedzy polskiej: Uczestnicy zjazdu ekonomistów i prawników polskich w Krakowie, na wycieczce do Wieliczki: odpoczynek w hali Dworca Gołuchowskiego w podziemiach, w czasie zwiedzania salin.

uwagę. Krótko, bo zaledwie na kilka dni obliczona działalność zjazdu nie mogła z natury rzeczy objąć wszystkich zagadnień, nasuwających się na myśl, nie mogła dać na wszystkie kompletnej odpowiedzi, jednak możemy już dzisiaj powiedzieć, że przez swe urzędowe obrady i przez poza urzędową wzajemną wymianę trosk, wzajemnego na przyszłość programu, stanie się zjazd owym świetnym i świetlnym reflektorem, co, prześwietlając tajniki przeszłości, rzuca też snop światła na teraźniejszość.

We czwartek po południu członkowie zjazdu udali się powozami do naszego grodu solnego, do Wieliczki, gdzie zwiedzili kopalnie soli, oprowadzani przez inżynierów salinarnych, którzy z nadzwyczajną uprzejmością i życzliwością udzielali im wszelkich objaśnień. Fotograf nasz, wysłany specyalnie przez redakcyę naszego pisma do Wieliczki, odfotografował wszystkich uczestników w sali balowej w głębokości 80 metrów pod ziemią. Jak widać na załączonej obok illustracyi, wszyscy mają na sobie białe płaszcze, chroniące przed powalaniem się w oślizgłych od wilgoci podziemiach. Druga illustracya przedstawia uczestników zjazdu również w podziemiu w tak zwanym dworcu Gołuchowskiego, trzecia zaś zebranych już po zwiedzeniu salin na schodach, wiodących do szybu arcyksięcia Rudolfa. W grupie tej znajdują się w środku między innymi były poseł do Dumy z miasta Warszawy Franciszek Nowodworski i znany działacz społeczny, wybitny adwokat warszawski, mecenas Kijeński.

Ponadto zamieszczamy w dzisiejszym numerze grupę członków komitetu urządzającego zjazd oraz prezesów i wiceprezesów sekcyj, razem z prezesem zjazdu pośrodku.



Fot. aparatem redakcyjnym „Now. Illustr“. W. Lis z Krakowa.
Święto wiedzy polskiej: Grupa uczestników zjazdu prawników polskich w Krakowie, w czasie zwiedzania Wieliczki; przed szybem arcyksięcia Rudolf po wyjściu z kopalni: pośrodku 1. poseł Nowodworski z Warszawy, 2. mec. Kijeński z Warszawy, 3. dyrektor poczt w Krakowie dr. M. Biliński.



Fot. aparatem redakcyjnym „Now. Illutr“. przy sztucznem oświetleniu W. Lis z Krakowa.
Święto wiedzy polskiej: Uczestnicy zjazdu ekonomistów i prawników polskich w Krakowie na wycieczce do Wieliczki: grupa gości w sali balowej w podziemiach salin wielickich, w okryciach płóciennych, chroniących ubrania od poplamienia wilgotną solą.



Fot. umyślnie dla „Now. Illustr“. St. Marynowski w Warszawie.
Jubileusz na Dynasach: Obchód 20-lecia istnienia Warszawskiego Tow. Cyklistów w siedzibie własnej na Dynasach: grupa cyklistów-turystów W. T. C. i przedstawicieli stowarzyszeń kolarskich z Lublina, Łodzi, Piotrkowa, Płocka i Kijowa. W trzecim rzędzie od dołu pośrodku członkowie komitetu z wiceprezesem A. Fertnerem „twórcą Dynasów“ i Wacławem Orłowskim, redaktorem „Sportu“.

Jubileusz na Dynasach.

Jedno z najruchliwszych Towarzystw sportowych w Królestwie Polskiem, mianowicie Warszawskie Towarzystwo Cyklistów, obchodziło ubiegłej niedzieli 20-lecie swego istnienia, we własnej, sympatycznej siedzibie na Dynasach

Znana ta i popularna w Warszawie instytucya sportowa, acz przed niedawnym czasem jeszcze liczyła z górą 760 członków, co bezsprzecznie stwierdzało rozwój i zamiłowanie do sportu, poczęła jednak w ostatnich czasach maleć liczebnie, a jak obecnie, liczy już tylko członków zaledwie 500. Przyczyn tego należy szukać głębiej, trudno bowiem przypuścić, aby w tym wypadku mogła odgrywać rolę niechęć do sportu kolarskiego, który przecież zawsze znajduje wielu zwolenników.

20-tą rocznicę założenia instytucyi upamiętniono wyścigami jubileuszowemi na torze Dynasów; odkładano ich termin kilkakrotnie, aż wreszcie odbyły się one z powodzeniem w ubiegłą niedzielę.

Wśród dziesięciu biegów, był też bieg motocyklistów.

W biegu mistrzów weteranów wziął udział obywatel i kupiec m. Warszawy, Mieczysław Horodyński, wielokrotny mistrz jazdy na kole na Królestwo Polskie, który dosiadł koła tym razem po 11 latach przerwy i wziął drugą nagrodę.

Po ukończeniu wyścigów i rozdaniu nagród, odbyła się jubileuszowa uczta koleżeńska na Dynasach dla zaproszonych gości, wśród których przeważali naturalnie przedstawiciele zamiejscowych bratnich stowarzyszeń.

Grupę gości na Dynasach widzą nasi Czytelnicy na załączonej rycinie, według umyślnie dla nas zdjętej na miejscu fotografii.



„Rabujemy dla partyi“: Epizod wielkiej wyprawy zbójeckiej na dwór pp. Mińskich w Jeżewicach pod Tarczynem: bandyci pod osłoną poduszek walczą z odsieczą chłopską.

TOMASZ COBB.

Tajemnicza zbrodnia

z angielskiego przełożył W. L.

ROZDZIAŁ I.

Co widział Józef Bodger.

Zimny marcowy wiatr porusza lasem z Rookfield. Słońce od godziny już zaszło, gdy Józef Bodger wynurzył się na skraju ukrytej ścieżki leśnej. Jakkolwiek liczył dopiero lat 26, miał już twarz zwiędłą, zniszczoną, a oczy małe i skośne, zdradzające niezwykłą chęć patrzenia w kierunku ukośnym poprzez długi, szpiczasty nos. Wyblakłą niebieską chustę miał zawiązaną pod szyją na parę węzłów, a kilka szylingów wystarczyłoby z pewnością na odkupienie jego wypłowiałego ubrania, zwisającego luźnie na wychudłem ciele.

Doszedłszy do granicy lasu, zeszedł z utartej drogi, mały kawałek kroczył łąką, wreszcie usiadł w pobliskim rowie i poszukał swej fajki. Gdy ją napchał i zapalił, wyciągnął się spokojnie na trawie możliwie najwygodniej i niebawem zasnął snem sprawiedliwego.

Parę godzin spał tak w rowie. Pierwszą jego myślą po przebudzeniu się była jego fajka, leżąca obok niego na trawie — podniósł ją niedbale, zapalił na nowo, a otrząsnąwszy się z rosy niby pies zmoczony, wlókł się dalej gościńcem, aż do skraju lasu, pod górę, do wioski Rookfield, rozłożonej malowniczo na samym szczycie pagórka.

Niebo zachmurzyło się tymczasem; małe domki i sklepy leżały otulone nieprzebitą ciemnością, a parę ulicznych latarń rzucało skąpe blaski światła. Józef przyspieszył kroku, pozostawił za sobą miejsce, gdzie krzyżowały się cztery zbiegające się ulice wioskowe, i znalazł się wkrótce pod murem, stojącym po prawej ręce.

Zakratowana brama prowadziła tutaj od strony zachodniej do kościoła w Rookfield, zbudowanego z silnego kamienia; wschodnie skrzydło kościoła dobudowano niedawno, wysoka zaś wieża sięgała jeszcze średniowiecza, nie harmonizując zupełnie ani z czcigodną nawą ani z nowoczesnym chórem. Prawdopodobnie był i zegar na wieży kościelnej — panująca ciemność nie pozwalała przypuszczać na pewne — bo gdy Józef Bodgar wszedł na cmentarz, ogradzający wiejski kościółek, usłyszał dwa miarowe uderzenia zegaru, zwiastujące prawdopodobnie drugą godzinę.

Czy była jednak druga na pewne? Mogło być w pół do dwunastej, pół do pierwszej, do drugiej; nic pewnego nie można było powiedzieć, gdyż ciemność nie pozwalała na to.

Znajdował się pomiędzy nagrobkami, połamanymi słupami; parę okazałych pomników, cała masa żelaznych i drewnianych krzyżów, patrzała teraz na niego. Błądził obok dobrze pielęgnowanych ogrodów przy grobach, aż doszedł wreszcie do pobliskiego pagórka, na którym już rosła trawa tylko. W niewielkiem oddaleniu od środkowej drogi cmentarnej stał wydrążony cis niezwykłego rozmiaru; gęste boczne gałęzie otaczały pień główny, do tego stopnia, że drzewo i zarośle tworzyły naturalną zaporę od strony ulicy.

Józef Bodger spostrzegł natychmiast nadarzającą się sposobność.

— Oho! — zawołał cicho — wygląda to na całkiem nowy grób.

Zegar kościelny wybił trzy kwadranse. Uważnie przypatrującemu się oku podpaść musiał natychmiast blask białych wstęg jedwabnych, obok zaś krzyże, zrobione z kwiatów; Bodger rozróżniał przytem najdokładniej mdły zapach zwiędłych fiołków i dzwonków majowych.

Przystąpił bliżej, noga jego natrafiła na silne, zapruszone deski, które zasypane formalnie wieńcami, leżały wysoko nad niedomkniętym grobem.

Zegar zwiastował północ. Szybko opuścił cmentarz, skoczył na prawo, przeszedł krokiem rączym obok domków i sklepów wioskowych i nie zatrzymał się, aż dopiero przed ostatnią kratą na końcu wioski.

Ostrożnie, unikając hałasu przy otwieraniu bramy, otworzył ją i skoczył natychmiast w pobliskie, gęste zarośle; czekał dość długo na wilgotnej ziemi, wreszcie ściągnął trzewiki i począł pełzać i skradać się jak kot obok ogrodzenia ogrodu, aż ujrzał przed sobą wielki, czworokątny budynek mieszkalny.

Oblicze jego blade przedtem, straciło teraz wszelką barwę; grube krople potu wystąpiły na jego czoło, raczej z obawy przed psami niż przed ludźmi. Trzymając się ciągle ogrodzenia, trzęsąc się z trwogi o własne życie, posuwał się zwolna naprzód; dopiero gdy stał tuż przed domem, odważył się przystąpić pod tylne okna! Nożem podważył okiennice, odsunął rygle zaparte, wskoczył nagle do środka, przeszedł przez brukowaną spiżarnię i wdarł się dalej zapomocą krótkiej sztangi — wszystko to było dziełem kilku minut zaledwie. Miał jeszcze tylko przejść przez pokój jadalny, drzwi zamknąć za sobą i wejść do następnego pokoju.

Gdy znalazł się wreszcie u celu, zasunął najpierw ostrożnie rygle z wewnątrz, otworzył następnie okno, aby mógł uciec w razie niepożądanej niespodzianki. Bez szelestu potarł zapałkę o pudełko, zapalił lampę i nabrał tyle najrozmaitszego srebra, ile mógł zmieścić przygotowany na wyprawę, duży worek wełniany, ukryty pod kamizelką.

Gdy zegar w pokoju porucznika Askewa pierwszą po północy zwiastował, spostrzegł Bodger, że należałoby powracać, gdyż miał długą drogę przed sobą. Silnie więc związał worek, przerzucił go przez ramię, lampę zagasił i przegiąwszy się przez okno, skoczył lekko i zwinnie do ogrodu.

Niebo wypogadzało się zwolna; niebieskie płaty ukazywały się między białymi chmurkami, gdy Bodger naciągając szybko trzewiki, klął wprawdzie cicho, ale za to z całej duszy, ukazujący się ponad jego głową księżyc.

Skulony, ukryty w gęstwinie, trzymał kurczowo worek i już miał zwrócić się naprzód, gdy nagle posłyszał jakieś kroki. Stanął i począł nadsłuchiwać.

Spokój, jaki panował w naturze, lekkie żeglujące chmurki, zwiększały zda się jeszcze tę ciszę i martwotę; czuł ją teraz podwójnie. Tylko cienie wędrujących chmur zarysowały się na oświetlonej promieniami księżyca drodze. Skoro kroki stawały się coraz to wyraźniejsze, przypełzał Bodger aż do muru ogrodu, nadział kurczowo sukienną czapkę na głowę i począł spoglądać ciekawie.

Cień jakiejś osoby posuwał się zwolna ulicą, zwiększał się powoli do kolosalnych rozmiarów, aż wreszcie przed oczyma przerażonego Bodgera przesunął się szybko silnie zbudowany mężczyzna w kierunku cmentarza. Broda jego wystawała z palta, którem się starannie otulił, oczy miał ku ziemi zwrócone. Bodger wstrzymał oddech, aż tajemniczy przechodzień zniknął mu z oczu po chwili.

Nie było zatem chwilki czasu do stracenia. Silnie przycisnął do siebie wartościowy worek i właśnie opuszczał swoją kryjówkę, gdy nagle odgłos nowych kroków uderzył o jego uszy.

— Ciekawy czas na przechadzanie się — zawołał gniewnie, zaciskając zęby z wściekłości — także się wybrali!

Jeszcze raz zmuszony był Józef w głąb gąszczu poskoczyć, przyczem mógł tylko od czasu do czasu rzucić okiem poza mur ogrodowy.

— Niech padnę w ręce kata — zawołał zdziwiony w najwyższym stopniu — jeśli tym razem nie idzie kobieta!

Tajemnicza postać otulona była od stóp do głów w czarne suknie i niezwykle wysoka, o wiele wyższa od poprzedniego mężczyzny. Chwiejącym krokiem posuwała się naprzód; twarz jej zakryta była gęstą, ciemną woalką, podczas, gdy ręka prawa bez rękawiczki zwisała ciężko i martwo. Niemo patrzała przed siebie, idąc krok w krok śladem potężnego mężczyzny, jak gdyby oboje należeli do tajemniczego orszaku duchów, zjawiających się stale po północy.

Ręce Bodgera drżały z przerażenia, aż słychać było dźwięk skradzionego srebra we worku. Złożył go zwolna na ziemi, czekając póki nie zniknie z jego oczu niezwykłe zjawisko; potem szybko porwał za worek i mknął ze strachu w stronę przeciwną.

Po lewej stronie ulicy nie było domów, lecz parę metrów po prawej widać było migające się światło między szeregiem lip ogołoconych z liści. W dali poza temi lipami, poza ogrodem niezwykle wielkim i pięknym, stał folwark, znany pod nazwą „Leśnego widoku“.

Stąd biegł ulicą parkan, stykający się w niewielkiem oddaleniu z drugim domem, „Wronie gniazdem“ przezwanym. Stał on na samym końcu wioski, więc Bodger odetchnął i z lżejszem sercem szedł naprzód, skoro „Wronie gniazdo“ już minął szczęśliwie.

ROZDZIAŁ II.

Co wyczytał Józef Bodger.

Zachodnia ulica Londynu graniczy wprawdzie z bardzo zamożną dzielnicą, żadną miarą jednak nie można powiedzieć, że do niej należy.

Skoro tylko odezwą się dzwony na poranną mszę, przeciąga tędy cały orszak wojskowych muzykantów a obok nich kroczy cała gromada dzieci pozbawionych opieki, a zajmujących się teraz roznoszeniem mleka po domach. Sklepy prawie wszystkie zamknięte jeszcze.

Wąską, ciemną bramą jednego z licznych domów zajezdnych, wychodził właśnie Józef Bodger, może biciem dzwonów zbudzony; natychmiast skierował swe kroki do pobliskiej fryzyerni, mieszczącej się na jednym z rogów ulicy. Dolna część okien sklepowych pomalowana była białą farbą, ażeby zabezpieczyć się przed wzrokiem ciekawego a niepowołanego tłumu. Na drzwiach widniał szyld z podobnym napisem:

Jonesa znane są w świecie pomady,
Goli najlepiej z fryzyerów gromady.

Idąc za zaproszeniem wzbudzającem tyle zaufania, wszedł Bodger do środka, usiadł na próżnem krześle i przechyliwszy swą głowę w tył nieco, czekał spokojnie, aż go Jones ogoli.

— Dzień dobry — Józiu — zawołał Jones, którego własne, krucze, czarne włosy, połyskujące tak wspaniale, przytem pielęgnowana znakomicie broda, były dla niego najlepszą reklamą.

— Masz wspaniałą już brodę — zaczął Jones rozmowę, przygotowując wszystko do golenia i zbliżając się z brzytwą. — Aby pana ogolić, panie Józefie, potrzeba niezwykłej siły w ręce i wielkiej wprawy. No, czy teraz źle pan może wyglądą — zapytał, odkładając brzytwę i kładąc ją na stoliku. — Czy źle się sprawiłem?

Bodger wstał z krzesła zmieniony do niepoznania. Nigdy nie dawał z taką satysfakcyą penny jak teraz; kupił sobie następnie nowe ubranie, poranne wydanie dziennika i wlókł się ociężale do Hyde-parku. W pobliżu marmurowego łuku rozłożył się na trawie, chcąc przeczytać sobie sprawozdanie z kradzieży. Zaledwie wziął dziennik do ręki, gdy całą jego uwagę zwrócił na siebie artykuł z podobnym tytułem:

„Zaginiony poeta bez śladu“.

Pan Derwent, znany autor licznych wspaniałych poezyi i popularnych opowiadań dla małego światka, znikł niedawno w sposób niezwykle tajemniczy. Małżonka ukochanego poety, którą kochał w sposób niezwykły, umarła 4 marca a we wtorek popołudniu poniesiono ją na miejsce wiecznego spoczynku.

Pan Derwent, któremu pozostała jeszcze jedna jedyna córka, szedł na cmentarz za trumną, patrzał, jak drogie zwłoki spuszczano do grobu, następnie zaś zaraz powrócił do domu, położonego na samym końcu uroczej wioski t. zw.: „Wroniego gniazda“.

Jakkolwiek nieutulony w żalu znajdował się w bezgranicznej rozpaczy, był zdaje się mimo strasznego wypadku zdrów tak na ciele jak i na duszy. Cały czas był ze swą córką, nawet wieczorem był w jej towarzystwie i zachowaniem swem nie zdradzał bynajmniej czegoś nienaturalnego, lub tajonego jakiegoś zamiaru. Udał się następnie na spoczynek do swego pokoju a we środę nad ranem znalazła służąca drzwi od bramy niezamknięte, co jednak nie wzbudziło wielkiego podejrzenia, gdyż ceniony autor zwykł spacerować zawsze przed śniadaniem.

Godzina śniadania nadeszła, pan Derwent nie zjawiał się jednak. Łóżko jego było nietknięte i od tej chwili nie widziano go już.

Znakomity autor, kochany nie tylko przez tych, co go osobiście znali, lecz także powszechnie lubiany dla swych wspaniałych dzieł, które w wysokim stopniu życzliwość publiczności pozyskały, znikł bez śladu a nikt nie może wyjaśnić tej tajemniczej sprawy.

Wioska zresztą zaciszna i spokojna, padła tej samej nocy z wtorku na środę, w której znikł pan Derwent, ofiarą niezwykle śmiałego rabunku. W pałacu zamieszkanym przez pułkownika Askewa, położonego kilkaset metrów zaledwie od Wroniego gniazda, popełniono włamanie i zdołano unieść znaczną ilość srebrnych przedmiotów.

Powodowani życzeniem przedstawienia naszym czytelnikom całej tej sprawy możliwie z wszystkimi szczegółami, posłaliśmy wczoraj do Rookfield specyalnego sprawozdawcę z grona naszej redakcyi. Panna Florence Derwent nie miała początkowo wielkiej ochoty zgodzić się na interwiew, gdy jej jednak nadmieniono, że opublikowanie wszystkich bocznych okoliczności, jakie towarzyszyły nieszczęściu, w piśmie tak szanowanem i rozpowszechnionem jak nasze, może się bezwątpienia znacznie przyczynić do wykrycia zbrodni, zgodziła

się wreszcie, udzielając łaskawie naszemu sprawozdawcy najdrobniejszych nawet szczegółów.“

„Interwiew naszego sprawozdawcy z córką zaginionego poety.

„Wronie gniazdo“ może być bez kwestyi idealnem mieszkaniem poetyckiej duszy. Zbudowane przy końcu nadzwyczaj malowniczej wioski, o parę mil od najbliższej stacyi kolejowej, darzy nas wspaniałym widokiem na mile szumiący bór, należący do tej wioski.

Dom nie jest wielki, lecz dosyć obszerny, otoczony wspaniałym ogrodem, w którym żółty szafran wiosenny zaczyna już na dobre zakwitać. Powój wspaniały pnie się do okien, a na grządkach, utrzymywanych we wzorowym porządku, zakwitnie niebawem purpurowy rododendron.

Panna Derwent przyjęła naszego współpracownika we wspaniałym, starożytnym gmachu, zapełnionym od góry do dołu książkami.

Córka zaginionego poety jest to osoba niezwykle ujmującej postawy, lat 19, wysoka — była ubrana czarno. Mimo pozornego panowania nad sobą po tak tragicznym wypadku, potrafiła mała illuzya, słowo rzucone niebacznie, wstrząsnąć nią do głębi, przyczem jej cudne niebieskie oczęta, napełniały się na nowo gorzkiemi łzami.

— Więc to jest pokój cenionego poety — rozpoczął nasz sprawozdawca — kolebka szlachetnych myśli, które stąd rozlatują się po całym świecie.

— Tak! To jest pokój, w którym mój ojciec zazwyczaj studyował — odpowiedziała gościnna panna Derwent — Codziennie, o ile przypominam sobie, siadywał przy tym stole; nie mogę teraz przyzwyczaić się do jego nieobecności.

— Czyżby to było rzeczywiście możliwą rzeczą, żeby pan Derwent nie wrócił już nigdy?

— Mam bardzo małą nadzieję — odparła biedaczka, do głębi poruszona. — Jeśli żyje, dlaczego nie powraca? Po raz ostatni widziałam go we wtorek wieczorem — dziś już sobota; gdzie jest, co zamierza, nic nie wiem. Nie miał żadnego nieprzyjaciela — któż mógł mu zatem jakąś krzywdę wyrządzić.

— Przypuszczają, że targnął się może własnoręcznie na swe życie.

— To niemożliwe! Nikt nie pomyśli o tem nawet na chwilę, kto zna jego charakter i jego sposób życia — zaprzeczyła żywo panna Derwent — nawet inspektor Holt nie wierzy w jego śmierć, lecz czyż to znowu podobne do prawdy, aby żył dotąd i nie oznajmił mi jeszcze, gdzie się podziewa?

— Inspektor Holt stawia, zdaje się, śmiałą hipotezę, że ojciec pani wpadł w ręce jakiejś rozbójniczej bandy — dorzucił nasz sprawozdawca.

— Czegóż mógł się po nim spodziewać rozbójnik lub morderca? Rzeczy wartościowych nosić przy sobie nie lubiał; miał stale przy sobie zegarek bez łańcuszka nawet. Skoro zwrócił się w stronę cmentarza, jak śmiem przypuszczać, aby odwiedzić grób mojej matki, to musiał iść bezwątpienia dobrze mi znaną ulicą, gęsto obsadzoną domami. Ojciec mój odznaczał się także siłą niezwykłą, stawiałby zatem opór zacięty i musiałby zbudzić sąsiadów wołaniem o pomoc.

— Pani wybaczy bolesne moje zapytanie — czy w zachowaniu się ojca, nie zauważyła pani nic niezwykłego w ostatni wtorek?

— Zupełnie nic — brzmiała stanowcza odpowiedź. — Dr Viret, który odprowadzał go z cmentarza do domu, może zresztą najlepiej poświadczyć, że zaginiony mój ojciec znajdował się w stanie najzupełniej normalnym.

— Kto taki? Dr Viret? Pani ma na myśli tego znakomitego patologa?

— Tak jest, nie praktykuje już wprawdzie, ponieważ jednak nasz lekarz domowy mieszka w Wisborough, miejscowości o parę mil stąd odległej, a choroba mej matki często wymagała natychmiastowej pomocy, zajął się dr Viret wyjątkowo tym wypadkiem.

— Czy wolno spytać o rodzaj choroby matki pani?

— Śmierć mej matki nastąpiła wskutek najrozmaitszych cierpień — przedtem miała raka na twarzy.

— Dr Viret jest specyalistą w tych chorobach?

— Rzeczywiście zainteresował się niezwykle chorobą mej matki — przebiegowi choroby towarzyszyły najrozmaitsze boczne systemy, których nie mogę panu bliżej określić. W końcu zajmował się dr Viret mą matką wyłącznie — nasz lekarz prywatny dr Brown przyjeżdżał tylko czasami — złożył też dowody niezwykłej staranności i dobroci i nie mam dość słów podziękowania dla niego.

Po dłuższej, niezwykle interesującej rozmowie o ostatniej pracy pana Derwenta, prosił jeszcze nasz sprawozdawca o pozwolenie obejrzenia pokoju, w którym przebywał ceniony autor poraz ostatni. Dopiero po widocznem wzdraganiu się, zaprowadziła go panna Derwent na pierwsze piętro do całkiem zwykłej sypialni. Parę wyborowych sztyletów miedzianych wisiało na ścianie, na stole leżała biblia, a obok starożytnego pieca stał fotel, na którym siadał zwykle ceniony poeta.



Chwiejnym krokiem posuwała się naprzód....

— Na dole w pokoju, w którym zazwyczaj studyował, życzyłam ojcu dobrej nocy — opowiadała dalej panna Derwent — lecz zaledwie znalazłam się w swojej sypialni, gdy nagle posłyszałam głos jego. O! jakżeż okropną jest rzeczą, być świadkiem bólu tak potężnego mężczyzny. Ojciec stał na schodach, oczy miał utkwione gdzieś w dal, i głosem tłumionym wciąż łzami, wołał za moją matką: Alicyo! Alicyo! Dopiero po południu pochowano ją. Pobiegłam na dół, ujęłam go pieszczotliwie za rękę i sprowadziłam do jego sypialni. Pozostałam tam chwilę i skoro poznałam, że się zupełnie uspokoił, pocałowałam go raz jeszcze na dobranoc, idąc zaraz na spoczynek. Poraz ostatni widziałam go tutaj — siedział na tym fotelu — była 11 godzina — od tej chwili zaginął wszelki ślad po nim.

— No! nie całkiem — szeptał Bodger do siebie, przerywając lekturę — ktoś widział go znacznie później — to ja! Mógłbym przysiądz, że to był Derwent tej nocy.

Rozkładając dziennik, zauważył jeszcze Bodger na pierwszej stronicy następujące ogłoszenie:

„1000 funtów nagrody!

Roderich Derwent zaginął w nocy z 4 na 5 marca. Miał lat 55, wysoki był na 5 stóp przeszło, dobrze zbudowany, miał włosy jasno-brunatnego koloru, małe wąsy i brodę, twarz szeroką i czerstwą, nosił czarne palto i filcowy kapelusz. Poraz ostatni widziano go we „Wroniem Gnieździe“ w Rookfield Sussex.

Wyznaczoną nagrodę wypłacimy temu, kto da nam wskazówki, przy pomocy których będziemy mogli albo odszukać zaginionego, albo też skonstatować śmierć jego.

Bliższa wiadomość u adwokatów Edwarda i Mathewsa, No-Old Jewry E. C“.

— Zdaje mi się, że to woda na mój młyn — zawołał Józef, zrywając się z trawy. — Czyż opisanego jegomościa nie widziałem później niż inni, czyż nie spostrzegłem drugiej tajemniczej kobiety, która szła tuż za nim? Tutaj się można porządnie obłowić — pomyślał Bodger, ruszając z powrotem — te 1000 funtów, to moje!

Po dłuższej rozwadze musiał jednak przyznać, że współdziałanie inspektora Holta w tej sprawie może wszystkie jego plany w niwecz obrócić. Bodger znał inspektora, wiedział też, że go Holt nie zapomniał jeszcze z pewnością; Bodger cenił ogromnie zdolnego inspektora, bał się go, dlatego nie mógł pójść wprost do niego i zażądać wyznaczonej nagrody.

To było nieszczęście — z pomiędzy dwojga złego wolał wybrać mniejsze, dlatego postanowił, raczej udaremnić plany sprawiedliwości, niż pomódz do zwycięstwa nieprzyjacielowi.

— W każdym razie pieniędzy można dosyć zarobić — rozumował dalej — ja się już w inny sposób postaram, aby nagroda przeszła do mojej kieszeni.

Był on nie tylko ostatnim, który widział tej tragicznej nocy pana Derwenta, lecz także jedynym człowiekiem, który wiedział o istnieniu tej tajemniczej damy, nie mógł zatem zwlekać i chwili, lecz postanowił działać szybko, starając się przedewszystkiem wpaść na trop tak ważnej postaci.

ROZDZIAŁ III.

Flora Derwent.

— Czy panna Derwent jest w domu?

— Zaraz zobaczę, mój panie.

Rosła, wiejska dziewczyna wskazała inspektorowi Holtowi drogę do pokoju przyjęć i udała się natychmiast po swoją panią.

Holt mógł liczyć lat 40. Średniego wzrostu, starannie ubrany i wygolony gładko, zdradzał człowieka niezwykłej energii. Nie obdarzony ani nadnaturalną bystrością umysłu, ani niezwykłą siłą odgadywania przyszłych wypadków, miał jednak swój rozum krytyczny i od chwili, w której sobie obrał za cel życia rozwiązywanie wypadków kryminalnych, udało mu się niejednokrotnie wykryć najzawilsze nieraz zbrodnie. Wobec tak zagadkowego i niewytłómaczonego zniknięcia poety, co prędzej miał dłuższe konferencye z jego wydawcą i bankierem — słowem, uczynił wszystko, co było w jego mocy, ażeby odkryć coś w tem pozornie spokojnem i zacisznem życiu cenionego autora.

Choć zbadał wszystko jak najdokładniej, musiał przyznać niebawem, że w otoczeniu pana Derwenta nie zaszło nic niezwykłego, coby mogło choć do pewnego stopnia usprawiedliwić jego zniknięcie. Pan Derwent prócz żony nikogo nie kochał; żadnych długów nie pozostawił — stan majątkowy był zadawalniający zupełnie, życie jego możnaby pokazać całemu światu, a nikt nie mógłby dopatrzeć się czegoś podobnego, coby mu mogło wstyd przynieść, lub splamić sławę jego córki.

(Ciąg dalszy nastąpi)

Zmiana dyrekcyi w akademii rolniczej w Dublanach.

Z rozpoczynającym się obecnie nowym rokiem szkolnym, zaszła w akademii rolniczej w Dublanach doniosła zmiana, zmiana jej kierownika. Ustąpił mianowicie po kilkunastu latach działalności dyrektor Juliusz Frommel, a miejsce jego zajął profesor Józef Mikułowski-Pomorski.



Zmiana dyrekcyi w akademii rolniczej w Dublanach: Ustępujący dyrektor Juliusz Frommel.

Dyrektor Juliusz Frommel urodził się w roku 1842 w Augsburgu w Niemczech. Ukończywszy studya rolnicze w Hohenheimie i Tybindze, przybył w r. 1864 do Galicyi, gdzie poświęcił się początkowo zawodowej praktyce. Już wówczas, czy to jako dzierżawca, czy to jako administrator większych dóbr, zyskał sobie sławę znakomitego praktyka. Młodzież też garnęła się tłumnie do jego gospodarstwa na praktykę. W tym okresie wykształcił p. Frommel 140 praktykantów.

W r. 1894 powołany został na stanowisko dyrektora wyższej szkoły rolniczej w Dublanach. Zakład ten za jego w nim pobytu uzyskał tytuł akademii i wzrósł w dwójnasób pod względem liczby słuchaczów. Dyrektor Frommel cieszył się zawsze ogromną sympatyą wśród młodzieży i szacunkiem u kolegów, wielkiem zaś zaufaniem u władz przełożonych. Od początku swego pobytu w Galicyi, brał czynny udział w życiu rolniczem tego kraju. Należał do najruchliwszych, najczynniejszych i najpożyteczniejszych członków Komitetu Towarzystwa gospodarskiego, w którym zasiadał od lat szeregu. Znany powszechnie jako doskonały znawca stosunków krajowych rolniczych, bywał często delegowany do obrad w sprawach rolniczych do Wiednia, jako reprezentant interesów kraju.

Następcą p. Frommla na stanowisku dyrektora akademii dublańskiej, został prof. Józef Mikułowski-Pomorski. Urodzony w r. 1868 w Królestwie Polskiem, studya zawodowe ukończył w Rydze, gdzie w idealnie zorganizowanem życiu stowarzyszeń studenckich, brał bardzo czynny udział. Następnie osiadł w rodzinnym majątku, a po pięcioletniej pracy na roli, mianowicie w r. 1893 rozpoczął wykłady w akademii dublańskiej. Wykładał chemię rolniczą i ogólne rolnictwo. Równocześnie organizuje krajową stacyę doświadczalną, chemiczno-rolniczą, która dziś jest największą z tego rodzaju polskich instytucyj. Stacya ta przyczyniła się też niemało do postępu rolnictwa w kraju.

Poza tem jest wiceprezesem Towarzystwa popierania polskiej nauki rolnictwa i wiceprezesem Tow. Kółek rolniczych (w miejsce dyr. dr. Steczkowskiego grzed paru tygodniami obranym). Zasługi prof. Mikułowskiego-Pomorskiego dla obu tych Towarzystw, zwłaszcza dla Kółek rolniczych, do których reorganizacyi w kierunku rolniczym bardzo wiele się przyczynił, są bardzo znaczne.

Dzieło O. Laetusa.

Założyciel zakonu Braci Miłosierdzia, zwanych popularnie u nas Bonifratrami, święty Jan Boży, rodem Portugalczyk (ur. 1495 r., zmarły 1550), stworzył typ nowożytnego szpitala, w którym ludzie, chwilowo chorzy, pod odpowiednią opieką, przychodzą do zdrowia, aby módz być nadal znowu użytecznymi członkami społeczeństwa. Do Krakowa sprowadził tych jedynych w swoim czasie opiekunów ubogich chorych, w r. 1609 szlachcic florentyński Montelupi, wkrótce po cudownem niemal wyleczeniu z ciężkiej choroby króla Zygmunta III-go przez jednego z Bonifratrów. Pierwotne siedlisko Braci Miłosierdzia w Krakowie znajdowało się w miejscu dzisiejszego nru 22 przy ulicy św. Jana, gdzie Bonifratrzy mieli konwent, szpital i kościółek pod wezwaniem św. Urszuli. W następstwie wojen i najazdów, a zwłaszcza po przeniesieniu stolicy królewskiej z Krakowa do Warszawy, źle się wiodło tutaj Bonifratrom, którzy mimo to gorliwie zajmowali się ubogimi chorymi. Od upadku uratował ich wielki książę warszawski i król saski Fryderyk August, który w 1812 roku darował im klasztor i kościół po Trynitarzach na



Zmiana dyrekcyi w akademii rolniczej w Dublanach: Nowy dyrektor Józef Mikułowski-Pomorski.

Kazimierzu w Krakowie, dokąd przenieśli się Bonifratrzy ze starej siedziby na ul. św. Jana. Ale rychło przestało istnieć 15 konwentów Braci Miłosierdzia, stanowiących prowincyę polsko litewską a utrzymały się tylko dwa konwenty w Krakowie i w Zebrzydowicach. Byt krakowskich Bonifratrów był coraz bardziej zagrożony, a ubożuchny ich szpitalik liczył zaledwie 12 łóżek, wobec czego w 1865 r. przyłączono konwent krakowski do prowincyi czesko-austryackiej. Zajęła się ona nim wprawdzie gorliwie, ale stosunki zmieniły się z gruntu dopiero przed 16 laty, gdy na czele Bonifratrów krakowskich stanął obecny przeor, Czech



Morenga: Echa wojny Niemców z Hererami w południowej Afryce: grupa pojmanych przez Prusaków przewódców powstańców; pośrodku siedzi uwięziony po wielokrotnych daremnych usiłowaniach, rozgłośny wódz Hererów, Morenga.

rodem, czcigodny i popularny dziś u nas, O. Laetus Bernatek. Zreformował on szpital radykalnie i uszczuplając miejsce, przeznaczone na mieszkania dla zakonników, powiększył ilość łóżek z 12 na 36, następnie na 60, wreszcie na 80, a kiedy wogóle szpital okazał się jeszcze za małym i nie odpowiadał obecnym warunkom zdrowotnym, postanowił zbudować nowy, na 120 łóżek urządzony. Zabierając się do tego dzieła, O. Laetus posiadał tylko grunt pod budowę ale nie tracił nadziei z powodu zupełnego braku funduszów. Pobudką do podjęcia tak wiekopomnego dzieła, była wielka wiara w Opatrzność i ogromna miłość bliźniego. Jak zaś wywiązał się z zadania przy znanej swej energii i wytrwałości, dowodem nowowzniesiony szpital ze składek publicznych, kosztem pół miliona koron urządzony tak, że niema sobie równego w kraju. Co tylko bowiem nauka i doświadczenie uznały za konieczne i pożyteczne przy urządzaniu szpitala nowożytnego, zastosowano to wszystko w tym właśnie gmachu dla ubogich chorych, leczonych, pielęgnowanych i utrzymywanych bezpłatnie przez szlachetnych Bonifratrów.

Jeden z największych w Polsce budowniczych współczesnych, Teodor Talowski, wykonał plany na budowę, a gdy przeniósł się wkrótce do Lwowa, architekt Janusz Niedziałkowski doprowadził do końca budowę. (Oto portrety obu twórców gmachu). Fasada trzymana w stylu poważnym z reminiscencyami romanizmu i ostrołuku rodzimego. Front zajmuje całą długość ul. Trynitarskiej na przestrzeni 100 z górą metrów. Ściany zewnętrzne wykonano z nieotynkowanej cegły przy użyciu gdzieniegdzie kamienia ciosowego. W głównym korpusie jednopiętrowym zajmuje środek budynku kaplica zakładowa, pod którą jest wejście paradne. Właściwe wejście do szpitala znajduje się od strony ul Mostowej w lewem skrzydle. Oba skrzydła są dwupiętrowe, wobec czego z wyższych okien roztacza się widok wspaniały na Podgórze, Wisłę i Krzemionki z mogiłą Krakusa. Tył szpitala wychodzi na śliczny ogród kwiatowy. Wszystkie ubikacye szpitalne są nader widne i obszerne (jak może Czytelnik wnosić z załączonej fotografii), a zaopatrzone w sztuczny dopływ świeżego powietrza filtrowanego. Oświetlenie elektryczne, ogrzewanie centralne, wodociągi z wodą zimną i gorącą, dają miarę wygód. Wszystkie łóżka mają na podkładach drucianych włosienne materace. Zdaniem znawców, dwie sale operacyjne są ostatnim wyrazem tego, co w tym zakresie jest postulatem praktyki i teoryi. Przy budowie tego ogromnego gmachu użyto wyłącznie sił miejscowych.

Wszystko to jest dziełem jednego człowieka — przeora O. Laetusa Bernatka (oto jego portret), który w niedzielę przeżył zapewne szczęśliwy dzień życia, widząc owoc swej pracy. W dniu tym z wielką uroczystością poświęcił kardynał książę biskup krakowski Jan Puzyna nowowzniesiony gmach, którego oficyalna nazwa brzmi: „Szpital Jubileuszowy im. cesarza Franciszka Józefa I-go“, asumpt bowiem do jego wzniesienia wziął O. Bernatek z powodu 50-lecia rządów obecnego monarchy. Z uroczystości poświęcenia pomnikowego dzieła załączamy również umyślne zdjęcia.



Fot. aparatem red. „Now. Illustrowanych“ W. Lis.
Święto wiedzy polskiej: Wybitni uczestnicy zjazdu ekonomistów i prawników w Krakowie, a mili goście z Warszawy, poseł Nowodworski i mecenas Kijeński.

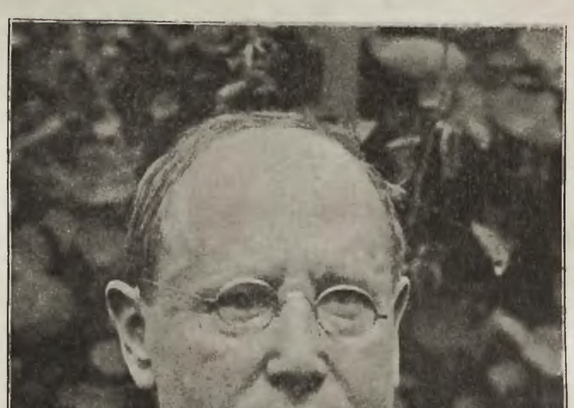
Na uroczystość niedzielną przystrojono nowy gmach szpitala. W przedsionku powitała kardynała ks Puzynę starszyzna zakonu Bonifratrów z prowincyałem O. Sturem i przeorami różnych konwentów prowincyi czesko-austryackiej wraz z O Bernatkiem. (Dajemy fotografię grupy zebranej na ten dzień w nowym szpitalu starszyzny zakonnej). Ks. kardynał odprawił mszę św. w oświetlonej elektrycznie kaplicy szpitalnej, poczem przemówił od ołtarza do uczestników uroczystości, a byli wśród nich przedstawiciele władz i społeczeństwa: jako zastępca namiestnika, sekretarz Kowalikowski, imieniem miasta wiceprezydent Chyliński z gronem radnych, przedstawiciele wojskowości: komendant twierdzy gen. v. Steeb i komendant placu Glaeser, wiceprezes Akademii Umiejętności dr Zoll, wydział lekarski Uniwersytetu Jagiellońskiego, dyrektorowie: Grodyński, Flatau, Biliński, Staniszewski, Kowalski, Sędzimir, przedstawiciele prasy itd., oraz komitet budowy z prezesem Włodkiem i architektami Talowskim i Niedziałkowskim. Po akcie poświęcenia wygłoszono kilka przemówień, poczem zwiedzano szczegółowo wzorowe urządzenia nowego szpitala. W południe podejmował konwent grono gości z ks. biskupem Nowakiem na czele, skromnym obiadem klasztornym, po którym nasz fotograf zdjął grupę uczestników w ogrodzie.

„Rabujemy dla partyi...“

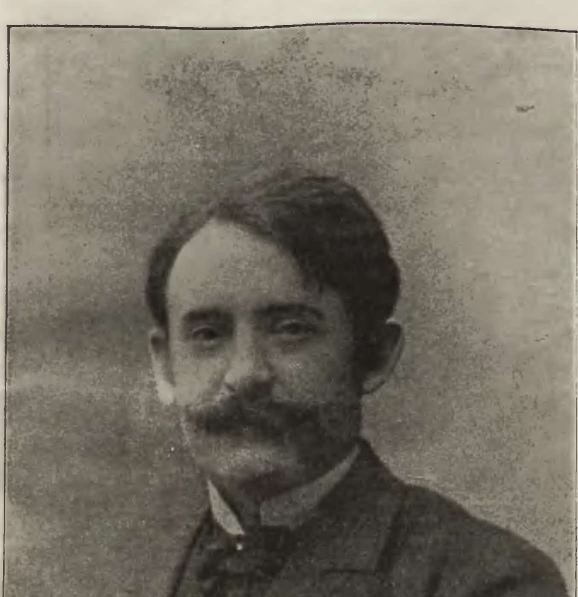
(Do artykułu na str. 9).

Przed tygodniem ofiarą wyprawy zbójeckiej na wielką skalę padł w pobliżu Warszawy, bo w powiecie grójeckim, dwór w Jeżewicach pod Tarczynem, własność p. Zygmunta Mińskiego, który ma za żonę siostrę pani Ferdynandowej Hoesickowej w Krakowie, a córkę pani Hortensyi Lewentalowej w Warszawie, wdowy po zasłużonym wydawcy „Kuryera Warszawskiego“.

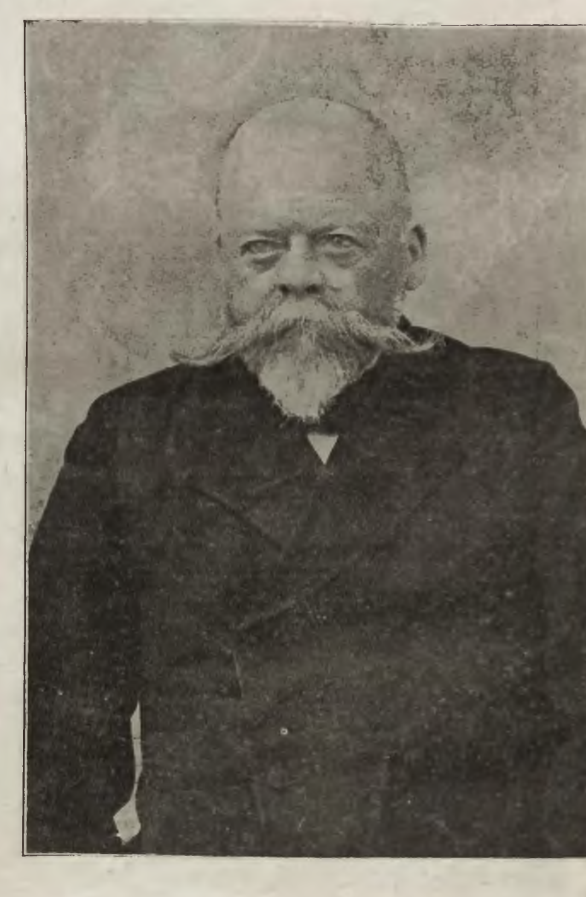
Przygotowując się do napadu na dwór w Jeżewicach, bandyci podpalili wieś Kotorydz, leżącą po drugiej stronie Tarczyna, żeby odwrócić uwagę mieszkańców okolicznych, a głównie strażników i żołnierzy, stojących załogą w Tarczynie,



Fot. W. Lis.
Dzieło O. Laetusa: Przeor krakowskiego konwentu Bonifratrów, O Laetus Bernatek, któremu zawdzięczać należy powstanie nowego szpitala Bonifratrów.



Dzieło O. Laetusa: Znakomity architekt polski Teodor Talowski, twórca planów budowy gmachu nowego szpitala Bonifratrów w Krakowie.



Dzieło O. Laetusa: Dyrektor Janusz Rawicz Niedziałkowski, pod którego kierunkiem dokończono budowy gmachu nowego szpitala Bonifratrów w Krakowie.



Fot. apar. red. „Now. Illustr“. W. Lis w Krakowie.
Dzieło O. Laetusa: Nowowzniesiony w Krakowie zasługą O. Laetusa Bernatka „Jubileuszowy szpital Bonifratrów imienia cesarza Franciszka Józefa I.“ przy ulicy Trynitarskiej: fasada frontowa.

którzy też wszyscy pospieszyli na widok pożaru na ratunek do Kotorydza. A tymczasem banda zbójecka złożona z 30 bandytów, uzbrojonych w rewolwery różnych systemów i kalibrów, napadła na Jeżewice. Była godzina 10 wieczorem, gdy państwo Mińscy, ułożywszy dzieci do snu, przeglądali w pokoju stołowym dzienniki. Wtem ozwały się krzyki i pukanie do okien. Dziedziczka wybiegła zobaczyć, co się dzieje, ale cofnęła się zaraz na widok zbójów, duszących za gardło stróża. Jednocześnie z różnych stron padły strzały, od których posypało się szkło z okien na podłogę. Pan Miński porwawszy światło ze stołu, poskoczył po rewolwer do gabinetu, lecz zaraz kula strzaskała mu lampę w ręku, a jednocześnie druga dosięgła jego żonę w szyję, wyrywając kawałek ciała. Przez okna bandyci rozpoczęli ogień rotowy dla postrachu i uniemożliwienia ucieczki ze dworu. Jedni z nich zatarasowali drzwi do czworaków, gdzie byli parobcy, drudzy pilnowali stajni cugowej, inni trzymali straż na drogach ze wsi do dworu, dokąd paru włościan, usłyszawszy strzały, chciało się dostać, lecz wartownicy z bandy ogłuszyli ich uderzeniami drągów lub kolb rewolwerowych. Dwunastu bandytów wpadło do pokojów. Skręcili z podartych prześcieradeł powrozy, któremi skrępowali dziedzica, a jego żonie, trzymając ją silnie za obie ręce, nakazali oddać wszystkie pieniądze, srebra i biżuteryą. Nie widząc ratunku, pani Mińska dobrowolnie oddawała wszystko zbójcom, otwierając sama szafy, komody, biurka. Ale mimo to rabusie obcasami butów rozbijali najcenniejsze meble, szukając pieniędzy. Nie znalazłszy ich nigdzie, domagali się gwałtem, żeby im powiedzieć, gdzie są ukryte. Na szczęście bowiem przed tygodniem pp. Mińscy wywieźli co najkosztowniejsze ze wsi do Warszawy i zbóje istotnie zauważyli, że spotyka ich zawód.

— To za mało! — wołali.

— Nie mamy więcej — tłómaczyła im dziedziczka. — W takich czasach nie można przecież trzymać większych sum w domu. Choćbyście zabili, więcej dać wam nie możemy, bo sami więcej nie posiadamy...

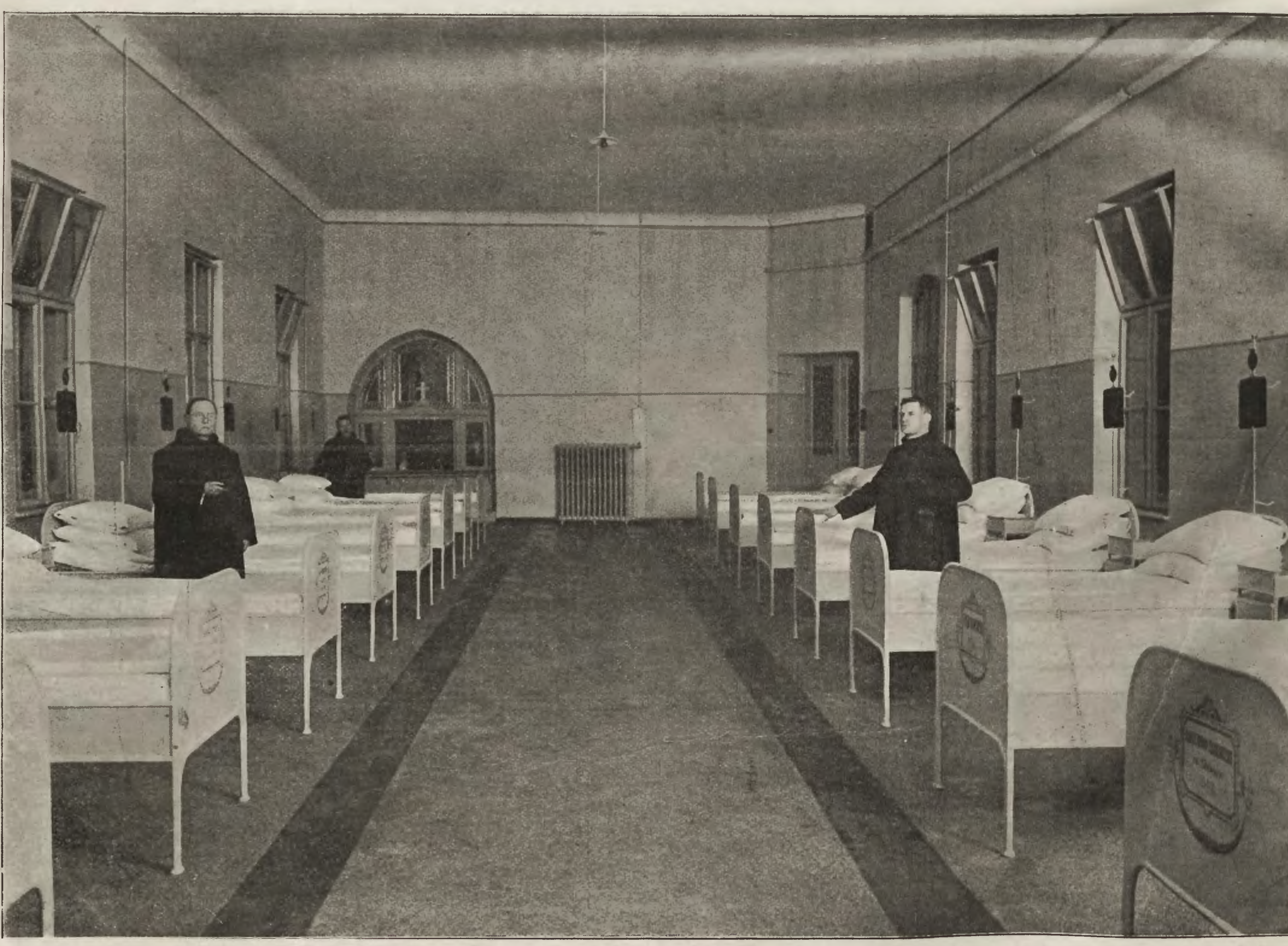
— Pan dziedzic wróciłeś we wtorek z Warszawy i przywiozłeś pieniądze na wypłatę kwartalną... Gdzie są te pieniądze? — pytali p. Mińskiego, leżącego w skrępowaniu na podesłanej mu z ironiczną uprzejmością poduszce.

— Miałem dopiero jutro jechać po pieniądze, jeszcze ich nie przywiozłem...

— Łżesz! My pana rozumu nauczymy — krzyknęli i zaczęli strzelać nad jego głową. A kiedy jedna z kul już osmaliła mu włosy, herszt bandy zawołał:

— Nie zabijajcie go, bo trup gadać nie może... są inne sposoby...

I zaraz jeden ze zbójców odwinął panu Mińskiemu rękaw i z nożem tępym brał się do torturowania, przyczem drugi miał w pogotowiu solniczkę.



Fot. apar. red. „Now. Illustr.“ W. Lis w Krakowie.
Dzieło O. Laetusa: Jedna z sal dla chorych w nowym szpitalu Bonifratrów w Krakowie.

— Będę panu krajał żywe ciało i posypywał rany solą, dopóki pan nie powiesz, gdzie pieniądze...

Na szczęście w tej chwili wszczął się hałas. To z odsieczą przybiegli ze wsi kupą chłopi, którzy słysząc dziesiątki strzałów we dworze, zrozumieli, co się tam dzieje. Na to herszt wydał rozkazy, by czterech zostało w pokoju, a inni, wziąwszy przed siebie poduszki dla ochrony, na wypadek strzałów z przeciwnej strony, mieli zasypywać chłopów gradem kul. Bandyci zaraz częścią rozstawili się w oknach, a częścią wyszli przeciwko odsieczy na ganek, zasłaniając się poduszkami. (Właśnie tę chwilę przedstawia nasza illustracya). Posypał się grad pocisków z rewolwerów, przeciwko chłopom, nacierającym z widłami i motykami, wszelką broń palną bowiem do ostatniej dubeltówki, odebrali im niedawno strażnicy. To też strzałami zasypywani, zaczęli chłopi z miejsca cofać się i tylko krzykami usiłowali odstraszyć rabusiów, którzy tymczasem dokończyli dzieła we dworze, spiesząc się widocznie w obawie nadejścia groźniejszej odsieczy. Co tylko było wartościowego w domu, zabrali wszystko, ściągając pani Mińskiej nawet z palców pierścionki. Kiedy prosiła, by jej przynajmniej obrączkę ślubną zostawili, odparli:

— Nie można. I tak napociliśmy się za darmo. Cóż to znaczy tych kilka rubli i trochę świecidełek... Taki pan i tak mało pieniędzy! My tu jednak wrócimy za dwa miesiące. A gdy wtedy nie będzie gotówki, źle skończy się z wami... Przecież my rabujemy dla partyi, a partya potrzebuje pieniędzy!...

Jak bezczelni byli napastnicy, o których wiadomo, że naturalnie z żadną partyą polityczną nic nie mają wspólnego, a stanowili tylko bandę prostych rozbójników, dowodzi mnóstwo epizodów ich trzygodzinnego pobytu we dworze. Kazali sobie np. podawać wódkę i zmuszali panią Mińską do picia wraz z nimi „za zdrowie dziedziczki“. Jeden znowu, widząc, że kołderka zsunęła się ze śpiącego synka dziedziców, otulił nią dziecko, wzdychając: „I ja mam dzieci“...

Po północy, ustawieni w czwórki przez herszta, odeszli w lasy, ciągle dla postrachu strzelając gęsto, pozostawiwszy cały dwór w ruinie. Strażnicy wróciwszy od pożaru, stwierdzili już tylko zniszczenie i ślady kilkuset strzałów. Pościg za zbójami okazał się daremnym. Pp. Mińscy uciekli naturalnie do Warszawy. Rana dziedziczki goi się na szczęście dobrze.

Nowa Sokolnia w Stryju.

Radosne święto obchodziło w ubiegłą niedzielę Sokolstwo stryjskie. Oto po 18 latach istnienia i po tyluż latach tułaczki po rozmaitych wynaj-



Fot. apar. red. „Now. Illustr· W. Lis w Krakowie.

Dzieło O. Laetusa: Zebrana na uroczystość poświęcenia nowego szpitala konwentu krakowskiego, starszyzna Zakonu Bonifratrów z prowincyi austryackiej: 1. O. Laetus Bernatek. 2. O. Edward Stur, prowincyał. 3. O. Herbert Kalny, 4. O. Anastazy Zelenka. 5. O. Longin Horak. 6. O. Tymoteusz Deutschel. 7. O. Teobald Bily. 8. O. Reginald Odstrczil.



Fot. aparatem redakcyjnym W. Lis w Krakowie.

Dzieło O. Laetusa: Po poświęceniu nowego szpitala Bonifratrów w Krakowie, grupa gości w ogrodzie szpitalnym: 1. ks. biskup-sufragan Nowak, 2. gen. zbrojmistrz v. Steeb, 3. wiceprez. miasta Chyliński, 4. komendant placu Glaeser, 5. ks. prałat Chotkowski, 6. ks. kanonik Borsuk, 7. dyrektor policyi dr. Flatau, 8. ks. kanonik Krupiński, 9. sekretarz Kowalikowski, zastępca namiestnika, 10. proboszcz wojskowy ks. Wonosch, 11. prof. Talowski, 12. dyr. Niedziałkowski, 13. sprawozdawca „Czasu“ Hopcas, 14. redaktor Prokesch z „Nowej Reformy“, 15. radca dr. F. Bujak, 16. marszałek Zdz. Włodek, 17. prof. dr. Pareński. 18. O. L. Bernatek, 19 prof. dr. Bossowski, 20. dr. Frączkiewicz.

mowanych czasowo. ciasnych i nieodpowiednich lokalach, wprowadziło się w tym dniu do nowego, wspaniałego gmachu, aby dalej w lepszych niż dotąd warunkach pracować nad pogłębieniem i nad rozwojem idei Sokolej. Nowy gmach Sokoła stryjskiego znajduje się przy ul. Kochanowskiego. Wzniesiony kosztem około 160.000 kor. na podstawie planów architekta p. W. Krzyżanowskiego w stylu secesyi, zachwyca lekkością budowy, doskonałem ustosunkowaniem poszczególnych swych części i artystycznem wykończeniem. Główną ozdobą wnętrza jest duża sala teatralna, zbudowana amfiteatralnie z balkonem i lożami. Scena wygodna opatrzona jest w doskonałą maszynerye. Obok sali ciągnie się foyer, a po drugiej stronie bufety. Sala gimnastyczna obszerna, wysoka, jasna, opatrzona jest we wszelkie najnowsze przyrządy. Wygodne szatnie uzupełniają tę część gmachu. Zauważyć należy wreszcie, iż cały gmach ogrzewany jest centralnie, oświetlony elektrycznie, ma nadto wodociągi, tusze i inne urządzenia.

Na uroczystość poświęcenia tego gmachu przybyło kilkuset umundurowanych Sokołów z całego okręgu lwowskiego, delegaci Związku dr Fiszer i p. Wallek, nadto goście z Węgier: poseł dr Erno Kovats z Budapesztu i prof. Łukaszkiewicz, delegat stow. Polaków i Koła akademickiego w Budapeszcie. Uroczystość byłaby wypadła o wiele wspanialej i milej, gdyby nie ulewa, która przez całą niedzielę trwała. Mimo to odbyła się msza polowa na boisku sokolem obok nowego gmachu a potem pochód Sokolstwa i defilada przed reprezentacyami Związku Sokolego, Rady miasta i powiatu.

Poświęcenia gmachu dokonał proboszcz miejscowy ks. kanonik Cisło, który następnie w ciepłych, serdecznych słowach przemówił do zgromadzonych Sokołów i tłumów publiczności. Dalsze przemówienia wygłoszone zostały dopiero wieczór, w sali teatralnej, przed wieczorem muzykalno-wokalnym. Przemawiali mianowicie prezes gniazda stryjskiego p. Władysław Hamerski, wiceburmistrz dr Bylina i prezes Związku dr. Ksawery Fiszer. Zakończeniem uroczystego wieczoru były produkcye wokalno-deklamacyjne oraz raut z tańcami.

W numerze dzisiejszym pomieszczamy zdjęcie fotograficzne gmachu Sokoła w Stryju, oraz portrety pp. Władysława Hamerskiego, prezesa gniazda i inż. Hassmana, który zasłużył się najwięcej około budowy nowej Sokolni.

Morenga.

(Do illustracyi na stronie 12).

Wojna z Hererami w południowej Afryce sprawiła już Niemcom nie mało kłopotu. „Waleczna“ armia pruska oprócz ohydnego, zwierzęcego iście okrucieństwa i znęcania się nad zabranymi do niewoli Hererami, nie wsławiła się żadnym innym



Fot. apar. red. „Now. Illustr“. W. Lis w Krakowie.
Dzieło O. Laetusa: W czasie otwarcia nowego szpitala Bonifratrów, przeor O. Bernatek oprowadza po salach J. Em. kardynała księcia biskupa Puzynę.

czynem. Zabijanie kobiet i dzieci pojmanych Hererów wśród wyszukanych tortur i mąk, jakim nieszczęsne ofiary poddają oficerowie pruscy, wywoływały już niejednokrotnie w uczciwej prasie niemieckiej głosy protestu i oburzenia, na wszystko to jednak odpowiadała rządowa ajencya telegramami, w których czytało się co chwila, że „armia pruska rozpędziła i rozgoniła buntowników, zabrawszy do niewoli 400 ludzi“. W telegramach nie wspominano ani słówkiem o tem, że wśród tych 400 pojmanych, 350 było kobiet i dzieci! Takiem łgarstwem plują Niemcy w oczy Europie, a Europa szczycąca się wzniosłemi ideami humanitarności i pokoju, słucha tymczasem pokornie błyskotliwych słów wielomównego Wilhelma, tryskających rakietami frazesów „o państwie kultury, sprawiedliwości i bojaźni Bożej“ streszczających się w znanej maksymie pruskiej „Deutsche aller Welt voran“! — i milczy.

Hererowie, walczący o najświętsze swe prawa, o wolność rodzinnej ziemi, którą chce połknąć nienasycony nigdy smok krzyżacki, mogliby zaiste służyć za przykład, jak się walczy za ojczyznę. Naród to nie wielki, zaledwie kilkadziesiąt tysięcy dusz liczący, a jednak mimo przeważających sił wrogów walczy i nie poddaje się. Wodzowie ich przewyższają sprytem strategicznym stokrotnie pruskich oficerów i trzebią ich oddziały, jak się tylko da i gdzie się da. Juścić, ofiarą pada i mnóstwo Hererów, ale każde zwycięstwo Prusacy ciężko opłacają.

Z pomiędzy wodzów Hererów żaden nie nabawił Prusaków tyle kłopotu, żaden im tyle krwi nie napsuł i nie przelał, żaden nie walczył z nimi tak skutecznie, z taką szaloną chytrością i sprytem, jak Morenga. Człowiek to, który umiał zawsze umknąć wtedy, kiedy wszyscy byli już przekonani, że go mają w swych ręku. Ostatecznie udało się Prusakom złapać jego i jego wspólników. Jeńców przewieziono do Upington, gdzie fotograf zdjął charakterystyczną ich grupę, jaką dziś zamieszczamy.

Z początkiem kwietnia Morenga wdarł się był poraz niewiadomo który pomiędzy Niemców i pobił napotkany oddział, poczem znikł nagle bez śladu, jak kamfora. Dopiero z początkiem maja wyszło na jaw, że Morenga znajduje się na terytoryum angielskiem, przebiwszy się, jak kot, pomiędzy siecią wojsk niemieckich. Ale zaledwie Niemcy dowiedzieli się o tem, Morenga był już znowu pośród nich samych. Kapitan Beck zaczął go ścigać, a wiedząc, że Morenga zawsze chroni się na terytoryum angielskie, nie zważając na związki i układy międzynarodowe, poszedł sam na to terytoryum, napadł Morengę, znajdującego się z małym oddziałem w pobliżu Romisolay; wywiązała się walka, w której padło 26 Hererów. Morenga umknął z sześciu ludźmi, ciężko ranny, schwytano go jednak w kilka godzin po bitwie. Można sobie wyobrazić, jak go Prusacy, trzymający się tradycyi Puttkammera, serdecznie przyjęli. Wyryte to na jego twarzy, mimo przebytych cierpień noszącej jednak znamię wielkości i dumy na czole.

Morenga, typowy okaz Herera, wywędrował swego czasu do Przylądka i tam w kopalniach miedzi zdołał sobie zebrać pokaźny majątek. Przyjął chrześcijaństwo, ale w roku 1897 powrócił znowu za rzekę Oranje, połączył się z pogańskimi rodakami i na ich czele walczył ciągle z najeźdźcami, aż musiał wreszcie uledz.

Wyścigi balonów.

(Do illustracyj na stronach 2 i 3).

Urządzony przez paryski Aero-club wyścig balonów o nagrodę wydawcy "New-York Heralda", Gordona Benneta, zakończył się zwycięstwem porucznika armii amerykańskiej Lahma, który balonem „United States“ wylądował po 23 godzinnej jeździe nadpowietrznej, w Anglii, o 10 kilometrów od Hull, a o 620 klm. w prostej linii od Paryża, t. j. od miejsca, skąd puścił się w niebezpieczną drogę. Powodzenie swe zawdzięcza on tym razem głównie tej okoliczności, że towarzyszył mu dyrektor obserwatoryum astronomicznego w Waszyng-



Fot. E. Trzemeski ze Lwowa.
Nowa Sokolnia w Stryju: Msza polowa na boisku przed poświęceniem nowego gmachu Sokoła stryjskiego.

tonie, Heasley, specyalnie badający prądy powietrzne, a więc obeznany ze stanem atmosfery nad kanałem La Manche. Balon z tymi dwoma odważnymi podróżnymi przeleciał szczęśliwie nad kanałem i dostał się nad Anglię. Tu, gdy wiatr unosił go w stronę morza Północnego, aeronauta otworzył klapę bezpieczeństwa i zarzucił kotwicę, która zrazu wlokła się w niebezpiecznej bliskości domów, aż uwięzła w rowie i wylądowanie odbyło się bez wypadku. Dalsze nagrody w wyścigu po poruczniku Lahmie wzięło trzech Francuzów, z których jeden np. hrabia de La Vaux balonem „Walhalla" przebył w ciągu 23 godzin 430 klm. i spadł w hrabstwie Kentu, a wzbił się raz podczas podróży do wysokości 7.500 stóp.



Nowa Sokolnia w Stryju: Druh Władysław Hamerski, prezes Sokoła stryjskiego.

Bohater wyścigu, zamiłowany aeronauta, porucznik Lahm odbył w ostatnich dwóch miesiącach 10 wycieczek balonowych. Odznaczył się w wojnie z Hiszpanią. Obecnie jest nauczycielem francuskiego w amerykańskiej szkole wojskowej a do Francyi przybył jako gość francuskiej akademii wojskowej jazdy w Saumar. Aeronautyce poświęca się tylko w chwilach wolnych od prac zawodowych.

Piękna Marsylianka.

Teatr ludowy w Krakowie, mieszczący się ciągle jeszcze „kątem" w ujeżdżalni Targowskiego na Rajskiej, rozwija się mimo to jaknajlepiej pod kierunkiem p. Frączkowskiego który, jak się zdaje, nie może narzekać na brak powodzenia u coraz szerszych kół publiczności. Za to dyrekcya stara się dawać swoim gościom co tydzień jakąś nowość, którą — trzeba to przyznać — wystawia bardzo starannie. Trupa jest dobra, zespół artystyczny nie razi nigdy prowincyonalizmem i dzięki temu, krakowski teatr ludowy może podołać nawet trudniejszym zadaniom. A do takich właśnie należy zaliczyć najświeższą premierę na Rajskiej. Jest nią sztuka Piotra Bertona z czasów Napoleońskich pt. „Piękna Marsylianka", która zagranicą nabiera teraz podobnego rozgłosu, jaki miała swego czasu słynna „Madame Sans Gêne" Wiktoryna Sardou z praczką-marszałkową. I tu i tam, jeden z aktorów ma pole do popisu scenicznego w roli Napoleona Wielkiego a tej postaci w świetle kinkietów teatralnych, zawsze i wszędzie publiczność ciekawa. Krakowski teatr ludowy wystawia „Marsyliankę" w miarę swych środków bardzo efektownie. Oto dajemy Czytelnikom grupę osób, biorących udział w tej sztuce, w kostyumach stylowych, z figurą Napoleona pośrodku, a bywalcy teatru z ul. Rajskiej poznają w nim — dyrektora Frączkowskiego.

Z lwowskiego bruku.

(Młodzież krakowska we Lwowie. — Lwów gościnny, piękny i wielki. — Co wywarło na gościach korzystne wrażenie? — Colosseum a teatr pod względem recenzyj).

Studenci krakowscy, którzy urządzili wycieczkę do Lwowa, mieli sposobność przekonać się, że Lwów jest gościnnem miastem, pięknem miastem i wielkiem miastem. Wprawdzie zapomnieliśmy, czy przyjeżdżają, zapomnieliśmy ich oczekiwać i w ten sposób trochę zaniedbaliśmy nasz obowiązek, ale za to potem, gdyśmy się dowiedzieli z dzienników, że młodzież krakowska jest we Lwowie, że już cały dzień wałęsa się po ulicach, wynagrodziliśmy im tę przykrość stokrotnie. Tak dowiedliśmy, że Lwów jest gościnnem miastem.

Naprzód, ażeby ich rozweselić i ucieszyć posłaliśmy ich do parku Stryjskiego gdzie podziwiali historyczną sadzawkę wraz ze wszystkiem, co od szeregu lat w niej się mieści i co w niej piszczy.. oraz Racławice. Dobrze zrobili nasi goście, że jeszcze obejrzeli ten gmach racławicki, bo teraz przy panujących wiatrach jesiennych, cały budynek gotów rozsypać się w gruzy i byliby go już nigdy nie zobaczyli. Tak naprzykład nie widzieli już słynnej Bourlardówki, którą jeszcze przed sześciu miesiącami, t. j. przed ostatnią burzą letnią mogli byli oglądać.

Naszymi brukami na jeziorach i jeziorami w brukach byli goście krakowscy zachwyceni. Przy odgłosie studenckiej muzyki powykręcali sobie nogi i zdarli obuwie do tego stopnia, że kilku nawet wróciło do Krakowa boso. Nie utonął atoli żaden z nich, co zawdzięczają tej okoliczności, że szli przez miasto gromadami i jeden mógł drugiego w danym razie ratować.

Z innych osobliwości zrobiły na nich nader korzystne wrażenie: konna policya, ratusz lwowski, kopalnie błota na kilku pryncypalnych ulicach, obecnie rozkopanych w celach poszukiwania skarbów, najnowsze widowisko: wędzenie ulic i mieszkańców w biały dzień, pomnik Gołuchowskiego stojący obok policyanta, lwowskie Wenery w pasażu Mikolasza wieczorem urzędujące, kawiarnia Kryształowa, cała ze szkła, czekolady i pianki słodkiej, tramwaj konny (ostatni rok do widzenia) z prawdziwymi końmi, z przodu i z tyłu do zaprzęgania, muzeum przemysłowe, na razie jeszcze bez okazów, ale za to z bogatym katalogiem, wystawa sztuk pięknych, także jeszcze na razie próżna, ale za to z katalogiem bogatym, lwowskie Fotoplastikum z Japonią, japońska kawiarnia Banzaj z lwowskiem piwem, pomnik Sobieskiego na wzór konnej policyi podczas ataku na socyalistów modelowany, pomnik Ujejskiego zaglądający z miną uśmiechniętą do składu kapeluszy, wystawa sztuk pięknych a tanich w oknie księgarni Altenberga, wystawa pieniędzy w oknie kantoru „Bankvereinu" (bardzo zajmujące), wystawa pięknych kobiet na korsie lwowskiem codziennie między 6—8 wieczorem, wystawa oficerów tamże, wystawa brylantów na uszach w kawiarni Amerykańskiej w sobotę i niedzielę wieczorem „przy muzyce 30 pp. pod osobistem kierownictwem p. Rolla" i inne rzeczy godne zapamiętania, ale niemożliwe do spisania w jednej korespondencyi. Tak przekonali się, że Lwów jest pięknem miastem.

Trzeba podnieść z uznaniem, że wycieczka udała się doskonale. Nikogo z wycieczkowców nie aresztowano, żadnego z nich nie porąbała policya, nikomu nie rozbito głowy w biały dzień w celach rabunkowych, żaden z nich nie zachorował z mięsa lwowskiego. To się nazywa szczęśliwa wycieczka i szczęśliwi wycieczkowcy. W restauracyi Naftuły zaspakajali głód i pragnienie, co im pewnie także na zdrowie wyszło. Że wyjechali z Lwowa goli, to było dla nich tylko dowodem, że Lwów jest wielkiem miastem.

Powiedział któryś z lwowskich społeczników



Fot. E. Trzemeski, Lwów.

Nowa Sokolnia w Stryju: Zasłużony członek Sokoła stryjskiego, inżynier Hassmann, czynny około budowy nowego gmachu.



Fot. E. Trzemeski ze Lwowa.

Nowa Sokolnia w Stryju: Nowy gmach Sokoła stryjskiego w stylu secesyi, według planów architekta Krzyżanowskiego.

na jednem z zebrań w tym tygodniu, że Lwów jest najdroższem miastem w środkowej Europie, czy nawet w całym świecie. Oto mamy nowy powód, aby być dumnymi. Ja dotąd sądziłem, że Lwów ma tylko jedno „naj“, tj. że jest najbrudniejszem miastem. Teraz dowiaduję się, że jest jeszcze najdroższem miastem. Dalszą konsekwencyą tej prawdy jest, że jesteśmy artystami, skorośmy dotąd nie wyginęli z głodu w tej drożyźnie. Można więc powiedzieć, że Lwów jest artystycznem miastem.

Jeżeli już mówię o artyźmie naszego miasta, muszę wspomnieć o lwowskiem Colosseum, które również wywarło nader dobre wrażenie na uczniów krakowskich. W dziedzinie sztuki lwowskiej Colosseum potrafiło stanąć tak wysoko, że nawet tak szanujący się dziennik, jak „Przegląd“ wypisuje mu w dziale... literackim sążniste sprawozdania, niemal hymny pochwalne i nawołuje, aby naród chodził pilnie na spektakle Colosseum, jeśli chce zbawić ojczyznę i zasłużyć na wdzięczność potomności. Teraz przynajmniej dyrektor Herman nie będzie mógł skarżyć się przed całym światem, że lwowscy redaktorzy rabują go bezustannie, zabierając mu najlepsze loże i fotele za nic, za nic!

Pod względem recenzyj z przedstawień Colosseum są lwowscy dziennikarze całkiem zgodni, ale za to w recenzyach z teatru — pożal się Boże — ani razu nie udaje im się zgodzić na to samo. Jeden pisze, że sztuka pod psem, drugi wysuwa ją pod niebiosa, jeden mówi, że tłómaczenie doskonałe, drugi powiada, że to świństwo a nie tłómaczenie, jeden pisze, że tylko jedyny pan Adwentowicz grał świetnie a reszta nie zasługuje, aby o niej wspomnieć, drugi pisze, że tylko p. Chmieliński umiał zagrać doskonale, a reszta do niczego. Przedrukować i zestawić wszystkie lwowskie recenzye z jednej sztuki — to otrzymamy pismo humorystyczne tak dowcipne, że już podczas czytania pierwszych kilku wierszy można pęknąć ze śmiechu.

Kącik humorystyczny.

Złośliwy.

Pewna stara dama spaceruje z pączkiem róży u piersi. Jakiś chłopak na ulicy obserwuje ją tak długo, że to aż damę rozgniewało.

— Cóż się tak gapisz na mnie, smarkaczu?

— E! nic! Ja się tylko dziwię, że taki stary krzak jeszcze pączki puszcza...

O zabiciu żony.

Przed sądem przysięgłych w Krakowie, stanął onegdaj 30-letni Franciszek Kubicki, właściciel kawiarni ludowej przy ul. Stolarskiej, oskarżony o zbrodnię zabójstwa własnej żony Katarzyny. Oto podobizna jego ofiary. Kiedy zmarła ona w sierpniu nagle, sąsiedzi zaczęli mówić, iż Kubicka mu-



O zabicie żony: Śp. Katarzyna Kubicka, właścic. kawiarni ludowej przy ul. Stolarskiej w Krakowie, którą mąż zabił, za co został w tych dniach skazany na trzy lata więzienia.

siała paść ofiarą zwierzęcości własnego męża, który ją bił często i znęcał się nad nią w sposób nieludzki. Wdrożono śledztwo, a obdukcya zwłok stwierdziła, iż śmierć nastąpiła z pobicia. Kubickiego aresztowano i teraz stawiono przed sąd. Wypierał się on, jakoby żonę katował, a twierdził, że była pijaczką, lecz zaprzeczyli temu zaprzysiężeni świadkowie, poczem trybunał skazał zabójcę na trzy lata ciężkiego więzienia.

Od Wydawnictwa.

Wszystkim P. T. Prenumeratorom naszym, ze względu na konieczność uregulowania nakładu, przypominamy z powodu rozpoczętego czwartego kwartału, że

czas odnowić przedpłatę,

która w Galicyi wynosi z przesyłką pocztową kwartalnie tylko 4 korony, w Królestwie Polskiem bez odsyłania kwartalnie 1 rb. 80 kop., półrocznie 3 rb. 60 kop.; z przesyłką pocztową kwartalnie 2 rb. 60 kop., półrocznie 5 rubli 20 kop.

W Galicyi należy nadsyłać prenumeratę wprost do centralnej Administracyi naszego pisma

w Krakowie, ul. Zacisze l. 7.

w Królestwie Polskiem do biur G. Ungra w Warszawie, ul. Wierzbowa 8, lub Aleje Jerozolimskie 78.

Od Redakcyi.

W czwartym kwartale, oprócz sensacyjnych powieści, drukowanych obecnie w „Now. Illustr.“, zaczniemy wkrótce druk niezwykle zajmującej, wyłącznie dla nas pisanej pracy wielce poczytnego powieściopisarza

Artura Gruszeckiego.

Pamiętny Czytelnikom naszym autor „Bojowników“, osnuł najnowszą swoją powieść na tle rozgłośnych pogromów żydowskich w miastach państwa rosyjskiego.

Znany powieściopisarz-publicysta na nasze zaproszenie, odbył umyślne studya na miejscu w Białymstoku i innych miastach, nawiedzonych klęską pogromów, dzieło jego będzie więc miało wartość dokumentu historycznego.



Fot. aparatem redakcyjnym W. Lis w Krakowie.

Piękna Marsylianka: Grupa osób występujących w „Pięknej Marsyliance“ na scenie krakowskiego teatru ludowego, z dyrektorem Frączkowskim, jako Napoleonem, pośrodku.

„Mateczka"

Powieść współczesna na tle zdarzeń prawdziwych.

Napisał Bronisław Mazowiecki.

26 (Ciąg dalszy).

Kiedy niedawno temu rządy w pałacu objęła, po przyjeździe z Prus Królewskich, pani Felicya, zdała generałowi do Petersburga raport, iż w piwnicach nie zastała prawie żadnych zapasów.

Piotr Aleksandrowicz nie lubił się zajmować takimi drobnostkami, ale tym razem wpadł w pasyą, przeczytawszy list nowej gospodyni. Na jakiś miesiąc bowiem przedtem właśnie, sprowadził do swego majątku okazyjnie ogromny transport win pierwszorzędnych firm za grube pieniądze, jakkolwiek za czwartą część właściwej ceny.

Zachodziła tedy poprostu kradzież na wielką skalę, skoro nowa gospodyni już nie zastała tych zapasów w piwnicach.

Złożono to na barki poprzedniczki pani Felicyi, która uciekła z lokajem za granicę i ślad po niej zupełnie zaginął. Tymczasem kobieta ta, istotnie obłowiła się porządnie przed ucieczką, ale za mało sprytną była, żeby cokolwiek tknąć z piwnic; nie musiała znać widocznie wartości win złożonych w podziemiach pałacu.

Z tego właśnie skorzystała zaraz po przyjeździe pani Felicya.

Pierwszego dnia opowiedziano jej o ucieczce gospodyni. Od razu tedy wpadła pani Felicya na pomysł wykorzystania tak dogodnych okoliczności i zaczęła badać teren.

Kiedy przekonała się o zawartości piwnic pałacowych, nie namyślała się już ani chwili.

Na tem da się zarobić najlepiej i najłatwiej — powiedziała sobie i pchnęła do Smoleńska posłańca po Moszka.

Był to ten sam faktor, który oddał pani Felicyi nieocenione usługi w Prusach Królewskich.

Sprytny żyd na sprzedaży wielkiego majątku pana Edwarda K. zarobił grube pieniądze z trzech stron. Przedewszystkiem opłaciła go dobrze inicyatorka całej transakcyi w habicie tercyarki. Nie mniej wycyganił od dziedzica, a najwięcej udało mu się wydobyć od nabywcy majątku S..., owego Niemca, któremu w żaden sposób nie chciał pan K. sprzedać polskiej ziemi.

Ale Moszko wzbogaciwszy się nagle, chciał zaraz conajmniej potroić swoje fundusze i w tym celu zabrał się do pewnego „dobrego" — jak mówił sobie — interesu, o którym jednak z góry wiedział, że to sprawa „nieczysta"....

Tymczasem spekulacya nie powiodła mu się tym razem. Moszkowi powinęła się noga i nietylko, że nic na „dobrym geszefcie" nie zarobił, ale jeszcze musiał w porę czmychnąć z Prus — w obawie, by się nie dostać pod klucz...

Ponieważ zaś tak się złożyło, iż w tej samej porze z innych powodów, o których będziemy jeszcze mieli okazyę pomówić niebawem, musiała w podobnej obawie z Prus pospiesznie uciekać tercyarka Felicya, przeto udał się do niej, zawsze w konszachtach z „siostrą exdziedzica" pozostający, faktor Moszko.

Za jej radą postanowił przenieść się do Rosyi.

Felicya, której było bardzo dogodnie ubijać z nim różne interesa handlowe, chętnie obiecała mu sprawę załatwić dzięki licznym swoim znajomościom na gruncie rosyjskim....

Wyjechali tedy razem naprzód do Warszawy.

Tam właśnie matka Felicyi, która, jak wiadomo, niegdyś była gospodynią u pewnego bogatego Rosyanina w Królestwie, odebrała przez znajomych propozycyę natychmiastowego objęcia dobrej posady podobnej, w majątku ziemskim pod Smoleńskiem, u generała Piotra Aleksandrowicza G..., mieszkającego stale w stolicy.

Za warunek podano, że należy przyjechać na miejsce bezzwłocznie, gdyż właśnie poprzednia gospodyni nagle zniknęła bez śladu.

Matka Felicyi nie była chwilowo wolną i nie mogąc wobec tego udać się na posadę natychmiast, już miała zrezygnować z propozycyi, gdy córka jej z Prus przybywszy, oświadczyła jej z miejsca:

— Ja pojadę.

— Co? ty.... w habicie tercyarki?

— A czyż on gwoździem do mego ciała przybity — zaśmiała się na to córka — wszakże mogę go zrzucić z siebie każdej chwili, skoro tego wymaga interes.... Przecież szkoda by było nie skorzystać z okazyi.... Na tem da się dobrze zarobić, to jedno, a po drugie, wszystko to może mi się osobiście przydać do celów ważniejszych, z jakiemi się noszę.... Pojadę....

— Jak uważasz....

I nazajutrz pojechała Felicya już nie w habicie, a w towarzystwie Moszka do Smoleńska.

Żyd został w mieście, ona zaś następnego dnia udała się do majątku generała G.... na wieś.

Moszko miał w Smoleńsku znajomych, z którymi niegdyś to we Wrocławiu, to w Gdańsku i w Toruniu miewał wspólne interesy.

Od pierwszej chwili dał sobie tedy radę w nowem mieście, mając nadto silną protekcyę pani Felicyi u władz rosyjskich, wśród których ta wszędzie napotykała na swoich znajomych.

Plany Moszka były na szeroką skalę, a mógł je poprzeć pieniędzmi, których przywiózł dosyć ze sobą.

Akuratnie układał się Moszko z przyszłymi smymi spólnikami co do założenia w Smoleńsku intratnego interesu handlowego, gdy zjawił się u niego posłaniec Felicyi, która mu na kartce pisała po niemiecku:

„Mój drogi Moszku!

Zarobimy oboje dobrze, tylko przyjeżdżaj do mnie natychmiast końmi, które po Ciebie posyłam. Sprawa sekretna.... Czekam niecierpliwie.

Felicya".

W pierwszej chwili faktor nie był zadowolony, że mu przerwano ważne układy.

Ale kiedy się nad tem zastanowił, że Felicya przecież nie byłaby gwałtownie posyłała, gdyby sprawa nie była istotnie pilna i gdyby nie miał on przytem zarobić porządnie, udobruchał się i już w wesołym humorze wsiadł na wózek.

Para koni biegła rączo. Ale droga to była daleka, więc podróż trwała godzinami bez końca. Żyd niecierpliwił się tembardziej, że był z natury wielce gadatliwy, a tu w żaden sposób porozumieć się nie mógł z furmanem, który mówił tylko po rosyjsku, gy Moszko po za żargonem władał jedynie językiem niemieckim i również biegle, chociaż błędnie, polskim.

Z rosyjskiego rozumiał już wreszcie kilka częstszych zwrotów i może kilkunastu wyrazów znaczenia mógł się dorozumieć, ale okazało się, że dwóch słów nawet nie może na wózku zamienić z furmanem z majątku generała.

Jak to żyd, miał Moszko zwyczaj interesować się w podróży bez wyjątku wszystkiem, wychodząc z tej zasady, że nie wiadomo, na co komu może się przydać wiadomość jaka, a wobec tego należy, o ile możności, wiedzieć wszystko.

Znalazł się tedy w istnej rozpaczy, gdy po drodze chciał co chwila spytać to o nazwę miejscowości, przez którą przejeżdżano, o jej właścicieli, o stosunki majątkowe, o warunki życiowe i Bóg wie, o co jeszcze, co wszystko nieraz mogło było mu się potem przydać, zwłaszcza, że odtąd okolice te miały go stale obchodzić, jako mieszkańca stolicy tej gubernii. A tymczasem furman ani w ząb...

Coraz tedy markotniej było żydowi na wózku.

A wtem zmrok zapadł na dobre i Moszka przejęła wielka trwoga na widok czarnych lasów szpilkowych z jednej strony drogi, a szumiących fal Dniepru z drugiej...

Pytanie. czy to nawet bezpiecznie jechać tędy nocą — zaczął myśleć, nie mogąc dostać odpowiedzi na to od woźnicy.

Jakże się uradował, gdy rychło później zatrzymali się na krótko w karczmie przydrożnej. Tutaj chyba będzie mógł zasięgnąć języka, nie sposób bowiem, żeby i w zajeździe nie znalazł się nikt, z kim dałoby się porozumieć..

Trafił szczęśliwie, bo chociaż właściciel zajazdu, podobnie jak jego rodzina i służba, umieli jedynie po rosyjsku, to jednak w izbie gościnnej, zaraz wchodząc, zobaczył Moszko przy stole, raczących się herbatą, dwóch żydów rosyjskich.

Widok ich ucieszył go ogromnie.

Przywitał się, jakgdyby z dawnymi dobrymi znajomymi. Od pierwszej chwili okazało się, że obaj porozumiewać się z nim mogli niełatwo, nmieli bowiem po rosyjsku, a niemczyzny czystej nie znając, mówili żargonem żydowskim, w głębi Rosyi tylko używanym, a mało podobnym do szwargotu żydów niemieckich.

Każdy z nich jednak mówiąc po swojemu, potrafił porozumieć się przecież z drugim. Więc jakoś Moszko mógł nieco zaspokoić swą ciekawość.

Przynajmniej zasięgnął informacyi co do pewnych rzeczy, które go interesowały najbardziej.

Jego współwyznawcy uspokoili go, że wózkiem z majątku generała G... może jechać bezpiecznie nocą, drogą nad Dnieprem.

. . . .

Właśnie przed chwilą pogasły ostatnie światła w pałacu i spać się pokładła wszelka służba, gdy parobek Nikita przywiózł tam Moszka.

Oczekiwała ich przybycia jedynie pani Felicya, chodząc niecierpliwie tam i z powrotem po swoim pokoju.

Usłyszawszy turkot, wybiegła gospodyni na dziedziniec.

Zanim żyd zeskoczył z wózka, zbliżyła się Felicya do furmana i głosem cichym rzekła:

— Pójdziesz Nikita do stajen, weźmiesz parę koni tęgich, uważasz, wybierzesz dobre do większego ciężaru.. potem zaprzęgaj do tamtego wozu... wiesz... ten, co stoi w tej chwili przed wozownią... Kiedy będziesz gotów, staniesz z wozem przed drzwiami do piwnicy... Zrozumiałeś... Tu masz rubla na wódkę.. Nie waż się zbudzić kogokolwiek... Rozumiesz?

Co powiedziawszy, dopiero zabrała Moszka ze sobą do domu i drzwi pokoju zamknąwszy uważnie, wtajemniczyła faktora w swoje plany.

— Więc teraz zrozumiałeś, Moszku, że pod żadnym warunkiem nie może do rana nic pozostać w piwnicy — oświadczyła mu wreszcie, gdy żyd już wiedział, o co idzie...

Za chwilę ze światłem poszli po cichu we dwoje do piwnic pałacowych.

Tutaj dopiero Moszko zrozumiał interes należycie. Istotnie warte były zachodu owe zapasy win i miodów, jakie zastał w lochach.

Jeżeli do jutra nic nie zostanie w piwnicy, będzie Felicyi łatwo tak sprawą pokierować, żeby wszelkie pozory wskazywały, iż po przyjeździe nie zastała już nic z ostatniego wielkiego transportu, jaki przysłał niedawno na wieś generał.

Bez trudu uwierzy dziedzic, iż podziemne te skarby, uciekając z jednym z lokajów, wywiozła cichaczem poprzednia gospodyni.

Felicya zaproponowała Moszkowi, żeby tylko pośredniczył w sprzedaniu na jej dochód zapasów win i miodów, za co po załatwieniu przez niego tej sprawy w Smoleńsku, chciała mu ofiarować odpowiedni procent.

Ale Moszko zastanowił się, obejrzawszy dokładnie wszystko, co się znajduje w piwnicach, iż lepiej jeszcze na tem wyjdzie, jeżeli weźmie to za podstawę do założenia własnego składu win w Smoleńsku.

Zarówno wina, jak miody były pierwszorzędnych marek, znakomitej jakości i po większej części nawet bardzo stare. Domyślał się żyd, jaka musi być wartość tych ogromnych zapasów.

— Ja to wszystko od pani kupię sam dla siebie — oświadczył po niedługim namyśle.

Ale kłopot był z ceną. Felicya stawiała cyfrę zbyt wysoką, Moszko zaś bał się powiedzieć za wiele i wymieniał sumy śmiesznie małe przy wzajemnych targach.

Aż wreszcie Felicya wpadła na myśl nową. Oto zaproponowała żydowi spółkę.

— Uważasz, wywieziesz to wszystko dzisiaj do miasta i tam otworzymy do spółki handel lepszych gatunków win i miodów. Ten zapas stanowczo można uważać za wystarczający fundusz zakładowy interesu. W zyskach będziemy dzielili się w ten sposób, że mnie przypadną dwie trzecie, a tobie jedna trzecia. Ale ja cię znam, Moszku, że ty jesteś cygan, więc ty mnie i tak będziesz wiecznie oszukiwał, skoro nie będę mogła sama doglądać handlu na miejscu... Otóż z góry mogę się spodziewać, że ty bądź co bądź więcej niż połowę zysków zagarniesz, chociaż do interesu wspólnego nie włożysz ani grosza kapitału...

— Jakto nie włożę... To pani myśli, że ja tak z powietrza potrafię w Smoleńsku sklep otworzyć.. To przecież będzie i tak dużo kosztowało, a niewiadomo, czy będzie handel szedł zaraz od początku... A pani włoży w to chociaż jednego feniga swojego kapitału, co?

— A to nie jest kapitał — syknęła Felicya, wskazując ręką beczki, kosze i butle...

— Ja nic nie mówię, po co ja potrzebuję pani przypominać, co to jest grubo nieczysta sprawa... Ja nic nie mówię, ale pani przecie wie najlepiej, jaki to śliski interes... Zresztą nie lubię brać się do takich interesów i boję się nawet... Więc gdybyśmy się nie zgodzili na równe połowy wejść do tej spółki handlowej, to bym nie mógł się brać do tego, bo ja nawet nie wiem, czy to jest warte... A jeżeli to wina fałszowane... jak się okaże potem...

(Dalszy ciąg nastąpi).

Zagadki do nagrody.

Szarady.

Ułożyła H. Mokrzycka, Drohobycz.

I.

Sześciozgłoskowa ta szarada,
Dość kombinacyj w niej wypada,
Dlatego będzie wcale długa.
Zwykle dużo mówią *trzecia-druga*,
Panna *druga i czwarta*
Bywa zła i uparta,
Twierdzi, że zawsze jej jest *czwarta-piąta-szósta*,
Pierwszą — dość często mówią gracza usta.
Druga, piąta i szósta obszerny budynek,
Służy na poczekalnię i na odpoczynek.
Całość zaś każdemu służy,
Najbardziej głodnym w podróży.

II.

Pierwsza przyimek, a zaś sama *trzecia*,
Powstaje koło szycia,
Czwarta i druga
Wychodzą z pod pługa.
Całość — poeta w całej Polsce znany,
Zwłaszcza przez młodzież uwielbiany.

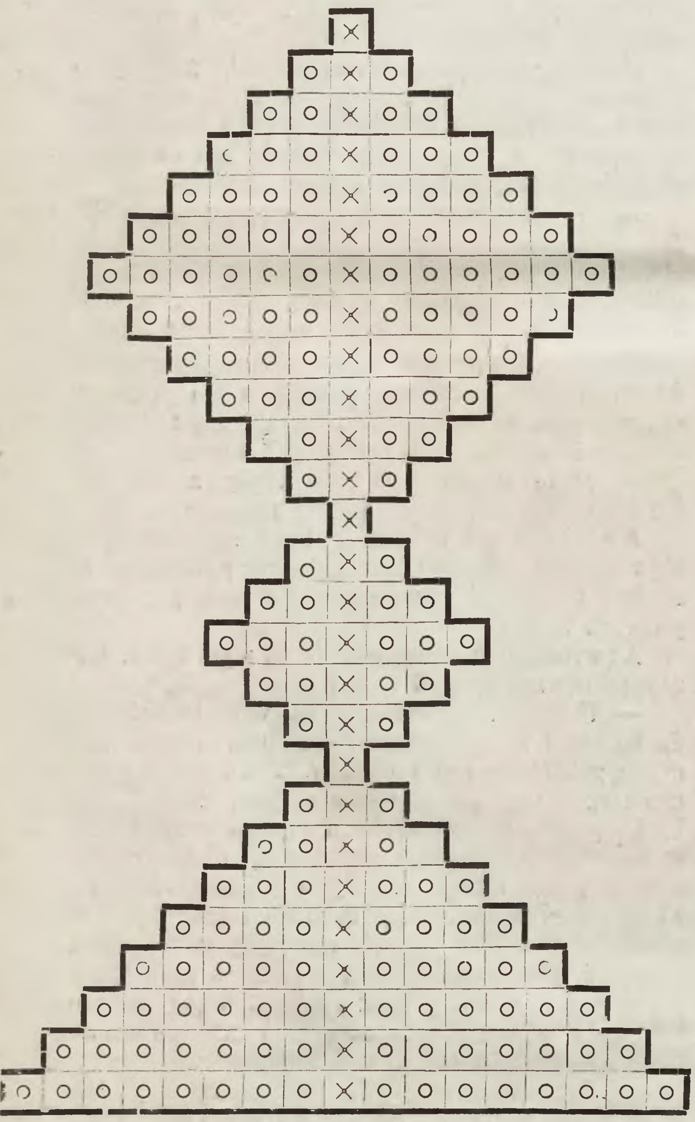
III.

Druga i trzecia
Służy do okrycia,
Dla zwierząt i ludzi,
Gdy mróz ziemię studzi.
Pierwszą i trzecią wyobraźnia darzy,
Ona to w mózgu schorzałym się marzy.
Całość doskonały trunek,
Dobry w chorobie i na frasunek.

Zagadka.

Ułożył M. Rożański, Gorlice.

Kółka i gwiazdki zastąpić literami w ten sposób, aby gwiazdki, czytane z góry na dół, utworzyły imię i nazwisko znakomitego poety i dramaturga polskiego, oraz tytuł jego utworu dramatycznego.

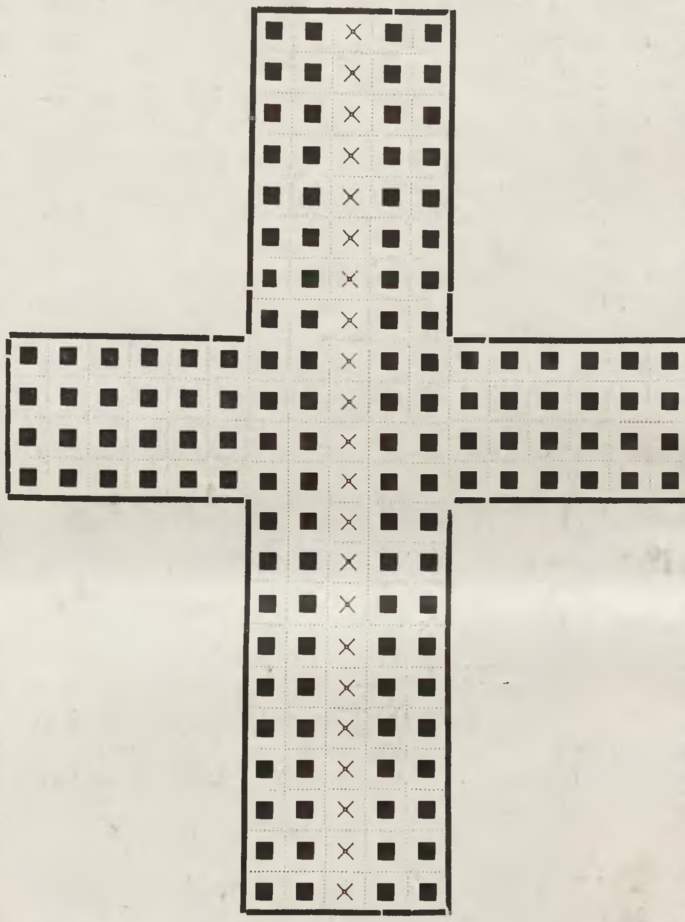


Znaczenie wyrazów 1. Spółgłoska. 2 Imię męskie 3. Nowela Sienkiewicza 4. Jarzyna. 5 Utwór Słowackiego 6 Miasto w Galicyi. 7 Dwa ptaki 8. Głośna sztuka Ibsena. 9 Inaczej Belgrad. 10. Rzemieślnik. 11 Kraj w Ameryce. 12 Wykrzyknik 13 Spółgłoska 14 Trunek. 15 Inaczej szybki. 16 Rodzaj bielizny 17 Korona książęca. 18 Rzeka w Galicyi 19. Spółgłoska. 20. Literat polski 21. Ptak, którego piór używają do ozdoby kapeluszy damskich. 22 Rolnik, z ukończoną szkołą rolniczą. 23 Utwór Krasińskiego. 24. Miasteczko w Galicyi wschodniej 25. Dwie części świata. 26. Dwa imiona żeńskie 27 Dwa imiona męskie.

Kryptogram.

Ułożył Julian K., Stryj.

Kropki i krzyżyki zastąpić literami w ten sposób, aby krzyżyki, czytane z góry na dół, utworzyły określenie kwestyi, cały świat interesującej.



Znaczenie wyrazów 1. Ptak. 2. Jedna z greckich parek. 3 Miasto w Holandyi 4 Inaczej człowiek cyniczny 5 Rzeka na Węgrzech. 6. To, z czego się pije piwo. 7. Inaczej szaleństwo. 8. Sprzęt domowy 9 Jedna z najpiękniejszych nauk. 10. Znany utwór Kamińskiego 11. Dwa państwa europejskie, jedno republika, drugie królestwo. 12. Jedna z powieści obyczajowych Kraszewskiego. 13 Inaczej sklep z towarami wszelkiego rodzaju. 14 Gwałtowna burza. 15. Drogi kruszec 16. Instrument muzyczny 17 Historyk rzymski 18 Imię żeńskie. 19. Główna część ciała 20 Szabla turecka z szeroką głownią 21. Inaczej przychylność (miłość). 22 Inaczej boginka wodna.

Dla ułatwienia rozwiązania, podajemy obok zgłoski, z których powyższe wyrazy utworzyć należy: a, a, ba, bel, bu, ca, cy, cy, cyt, da, do, dra, fa, fa, fekt, fel, fu, gę, gi, gia, gło, gó, hi, i, ka, kan, kaw, ki klo, ko, ko, kra, ku, le, leb, lej, li, łat, ły, mo, na, na, na, nik, nim, od, or, ra, ral, rya, rya, rya, sto, sza, szwaj, śla, ta, to, to, tu, wa, wa, wia, zar, zło

Za rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya jako nagrodę wspaniały tort czekoladowy z cukierni A Piaseckiego w Krakowie.

Rozwiązanie zagadek z Nru 39.

Szarady.

I. Armata. — II. Kotara. — III. Karakon.

Kryptogryf.

Jak, ko**k**os, Jul**i**usz, kor**p**utwa, Schol**a**styka, Kordya**n** — Mazepa **Jaki pan — taki kram,** Wisłok**a**, Wisłok. Ro**dzik**owski; Kra**iń**ski. Żó**kie**w, ka**r**aś, J**a**u, **m**

Jaki pan — taki kram.

Kryptogram.

k, k**o**s, Ze**n**on, Kon**o**pka, to**paz**, a**kr**, **a**.

Konopka.

Arytmogryf.

S, ł**z**y, pr**o**so, Kl**em**ens, Wie**i**czka, Anaks**a**goras, Słomia**ny** ogień, Ben**edy**ktyni, Petr**on**ela, epi**g**oni, os**i**na, le**n**, **ń**

Słomiany ogień.

Logogryf.

Jakób -- Roc**h**, **A**pollo, **n**amuł, **M**edard, Arysty**p**, **T**we**r**, Erl**au**, J**u**da**s**, k**urek**, **O**gi**ń**s**ki**.

Jan Matejko — Hołd pruski.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp.: L Bojnkowa Belz, Siła Nowiecv Lwów, B Ramułtowa Jeżów, Wł Dzieduszyński Kraków, A. Rotter Stanisławów, K. Szpunar Lwów, T. Domain Sanok, H Kulig Lwów, A. Sikora Lwów, M Arbesbauer Lwów, T Bossowski Kopyczyńce, A. Surowiecki Kraków dr. J. Kasparek Lwów, H. Ulrych Malin. H Zielińska Manajów, E Kawiński Starasól, H. Leligdowicz Fraga, Wł. Nowicky Wiśnicz, M Cetera Dubiecko. Z Ciechanowska Stary Sambor, Tow. „Zgoda“ Krosno Fr. Niepokój Krosno, Al Boesoń Bóbka. M. Rożański Gorlice, A. Kitzl Świdowa A. St Bassara Siwiska. J. Wiślicki Bogumin. H. Mokrzycka Drohobycz, A. Batko Lwów, M. Świrlikowa Rzeszów, E. Bogdalska Kołopuż, K. Chodkiewicz Zbydniów, K. Iurkiewicz Tłumacz, Cz. Głębocki Kraków St. Łaszkiewicz Dębica. J. Misiewicz Postołówka, Kuszpeciński Kraków, J. Haładej Górki, K. Jasiński Kraków, W. Starnula Samocice. M. Opolska Czarny Dunajec. dr. St. Wasmski Turka, A. Pukalski Andrychów. St. Soundi Skała, Wł. Karatnicki Worochta, Fr. Kośmider Nowy Sącz, M. Małaczyński Pikułowice, K. Fuchs Czerniechów, J. Torosiewiczowa Kołomyja. A. Fink Komorniki. M Pfeffer Przemyśl. Abonent w Długoszynie. St. Kmieć Nowy Sącz, K. Ludwig Borysław, M. Bartelmusowa Lwów, E Sabat Lwów, Z. Sabatówna Lwów, Cellerin Bukowsko, Grzegorz Illimis Kraków.

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. J. **Wiślicki w Boguminie.** Prosimy o nadesłanie 72 halerzy na koszta przesyłki.